

NATALIA POŻAROWSZCZYK



PERSPEKTYWA | TOM 1

Zaślepienie

PERSPEKTYWA | TOM 1

Zaślepienie

NATALIA POŻAROWSZCZYK



Copyright © 2025 by Natalia Pożarowszczyk

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Iwona Hardej

KOREKTA: Anna Skóra

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Zofia Włoczewska

SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I ISBN PRINT: 978-83-8394-979-6

EAN: 9788383949796

ISBN E-BOOK: 978-83-8394-980-2

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczak

Prolog

Styczeń 2018

Po raz pierwszy zwlekam z wykonaniem testu. Boję się jego wyniku. Nawet na początku się tak nie denerwowałam.

Nie jestem w stanie zliczyć, ile razy już to robiłam – z ogromną nadzieją i równie wielkim rozczarowaniem. Z czasem rozczarowanie było coraz mniejsze, lecz równie bolesne. Przestałam się nastawiać. Element zaskoczenia właściwie zniknął, pozostała jedynie frustracja.

Teraz jednak okoliczności się zmieniły.

Siedzę, przekładając test z ręki do ręki. Wstaję, zaczynam chodzić po całej łazience. Za wszelką cenę próbuję nie patrzeć w lustro, co nie jest łatwe – zajmuje ono niemal całą długość ściany.

Nigdy wcześniej nie czułam do siebie takiego obrzydzenia. Złamałam swoją najważniejszą zasadę. Gardzę sobą.

Być może ta myśl powoduje, że koniec końców siadam ponownie na desce klozetowej. Nie mam prawa się nad sobą roztkliwiać ani siebie żałować.

Drżącymi rękami rozrywam opakowanie. Kilka minut później pasek absorpcyjny jest mokry. Odkładam go tak, bym musiała się odwrócić, aby poznać wynik. Wpatruję się w minutnik na komórce. Kolejne sekundy z jednej strony dłużą się, a z drugiej – biegną jak szalone.

Boję się spojrzeć na test.

Boję się jak cholera.

Z zamkniętymi oczami liczę w duchu do stu, ale to nie sprawia, że staję się spokojniejsza. Chyba nic mi nie pomoże.

Nic oprócz informacji.

Więc odwracam się, a na widok wyniku zamiera mi serce.

Rozdział pierwszy

Czerwiec 2017

– Tomek nazwał mnie, cytuję, „ohydną zdrajczynią bez uczuć”. – Głos Uli jest beznamiętny, jakby mówiła o prognozie pogody. – A ja przeżyłam z Wojtkiem jedną z najlepszych nocy *ever*.

– No wiesz, miał rację – zauważam. – Wciąż z nim wtedy byłaś.

– On tak twierdził. „Przecież byliśmy razem!” – intonuje, nieudolnie udając męski głos. – A przecież ja zawsze jestem wobec facetów szczera, od razu daję do zrozumienia, że nie szukam nikogo na stałe. Nie każdy niestety to rozumie.

– Uczucia nie są racjonalne, Ulka – mrużę, wpatrując się w papierową słomkę włożoną do mojego dyniowego latte. – Myślę, że mu się na serio spodobałaś.

– Pewnie tak – odpowiada zrezygnowanym tonem. – Ale co mogę zrobić? Wiesz, jakie jest moje podejście. Nie szukam niczego poważnego. Mam jeszcze czas. Chcę się dobrze bawić, zdobywać doświadczenie zawodowe i prywatne. Na ustatkowanie się przyjdzie pora. Przecież dopiero co skończyłyśmy studia! – Wzdycha teatralnie i poprawia okulary przeciwsłoneczne w błękitno-złoty oprawkach.

Moja najlepsza przyjaciółka to ikona stylu. Nic dziwnego, ojciec Ulki to znany na całym świecie francuski projektant mody, z kolei jej matka kiedyś

pracowała jako modelka, a później stylistka, bo uznała, że woli projektować ubrania niż chodzić w nich na wybiegu. Razem tworzyli przez jakiś czas wyjątkowo zgrany duet.

Nie poznałby się, gdyby matce Uli w czasach głębokiej komuny nie udało się pojechać do Paryża, gdzie szybko zdobyła uznanie. Jednak jej największym sukcesem, jak sama twierdzi, było przypadkowe spotkanie słynnego już wtedy projektanta mody, Claude'a Marrona.

Jak widać, moja przyjaciółka miała po kim odziedziczyć urodę, przebojowość i gust. Połączenie kasztanowych włosów i ciemnej oprawy oczu ojca z idealną figurą, pełnymi ustami i błękitnymi jak bezchmurne niebo oczami matki dało mieszankę wybuchową. Dodatkowo Ulka zawsze wygląda, jakby dopiero co wyszła z najlepszego salonu mody w Paryżu czy Mediolanie. Dziś jej fikuśne okulary idealnie uzupełniają lekką błękitną sukienkę, na której wyszyto różnokolorowe kwiaty.

Podobnie jak Ula nie mam pojęcia, dlaczego jej rodzice zdecydowali się przeprowadzić do Konina, rodzinnej miejscowości jej matki, gdy moja przyjaciółka miała kilka lat. Jednak gdyby tego nie zrobili, nie poznałybyśmy się ponad dwadzieścia lat temu. Stało się to całkowicie naturalnie, ponieważ nasze rodzicielki przyjaźniły się w liceum, a ja urodziłam się i dzieciństwo spędziłam właśnie w Koninie. Do Warszawy przeprowadziłyśmy się z Ulką po maturze i mimo wyboru różnych uczelni wynajęłyśmy razem kawalerkę, w której mieszkaliśmy przez większość studiów.

– Ponad dwa lata temu, starzejemy się, kochana. – Nawiązuję do jej ostatnich słów, po czym, unikając jej wzroku, dodaję cicho: – Ula, ty nadal go...

– Nie chcę o tym rozmawiać! – Przerzywa mi gwałtownie, a na jej dotychczas beztroskiej twarzy na moment pojawia się coś na kształt

mieszanki gniewu i bólu.

Postanawiam odpuścić. Nasza ulubiona, przytulna kawiarenka, o idealnie pasującej do wystroju nazwie „Zielony Raj”, jak zwykle pełna ludzi, nie jest właściwym miejscem do rozpamiętywania związku Ulki z Konradem.

„Nie chodzi o miejsce”, zauważyła złośliwy głosik z tyłu mojej głowy. „Po prostu boisz się ją przycisnąć, tak jak ona boi się własnych uczuć. I nie tylko ona...”

Ten cholerny głos niebezpiecznie przypomina psychoterapeutkę, do której chodziłam jakiś czas temu. Postanawiam go zignorować. Stałam się w tym mistrzynią.

– ...nie jest zdrada. Wiem, że masz inne zdanie, i szanuję to – stwierdza Ulka, a ja patrzę na nią uważnie, kiwając głową, jakbym słuchała jej cały czas. – A skoro nie jestem w taką relację zaangażowana emocjonalnie, a drugą stronę od początku jasno informuję o moich zamiarach, nie uważam, że można w ogóle mówić o zdradzie. Uważam, że o zdradzie można mówić, dopiero gdy związek jest poważny. Gdy padły deklaracje z obu stron. A wtedy zdrada emocjonalna bywa nawet gorsza... – Mówiąc to, nie patrzy na mnie.

– A co, jeśli druga strona jest zaangażowana? Sama przyznajesz, że Tomek...

– Oliwia, nie odpowiadam za uczucia innych. Zresztą dlatego to przerwałam. Owszem, przyznaję, może nie powinnam iść z Wojtkiem do łóżka, zanim nie powiedziałam o mojej decyzji Tomkowi, ale...

– Nie powinnaś – potwierdzam grobowym tonem, wpatrując się intensywnie w stół. Czuję, jakby zarówno od Uli, jak i wszystkich wokół oddzielała mnie niewidzialna, gruba bariera.

– Kurczę, Oli, przepraszam – mówi łagodnie Ulka i kładzie prawą dłoń na mojej.

Nie zabieram ręki, mimo że w pierwszym odruchu chcę to zrobić. Być może dlatego, że – skubana – użyła zdrobnienia mojego imienia, którym wołała na mnie już w podstawówce.

– Wiem, jak jesteś uczulona na te kwestie – kontynuuje. – Czasami chciałabym, żeby ten jełop po prostu cię zdradził. Wtedy byś od niego odeszła i już. Tego byś mu po prostu nie wybaczyła.

– Ten „jełop”, jak uparłaś się go nazywać, ma imię! – warczę i gromię ją wzrokiem, jednak nie potrafię się na nią długo złościć. Nigdy nie potrafiłam, nasze kłótnie bywały burzliwe i czasem skutkowały cichymi dniami, ale nigdy nie dłużej niż tydzień. Cóż, i wtedy dobrze wiedziałam, i teraz wiem, że tak jak ja dla niej, Marron chce dla mnie jak najlepiej. – Jeśli z taką samą brutalną szczerością ostrzegasz swoich kolejnych koleś, że interesuje cię tylko dobra zabawa i łóżko, to przyznaję, sami są sobie winni, jeśli poczują coś więcej. Mnie byś odstraszyła.

– Wiesz, brutalna szczerść to moje drugie imię. Między innymi za to mnie tak kochasz. Zresztą łóżko ze wszystkich mebli interesuje mnie najmniej, jest przereklamowane – stwierdza Ula i mruga szybko, eksponując gęste, przedłużone maskarą rzęsy, a malinowe usta układa w dzióbek.

Nie mogę powstrzymać parsknięcia śmiechem. Dobrze, że już jakiś czas temu wypijałam kawę, przynajmniej nikogo nie opluję. Czy fakt, że moja przyjaciółka ma nierówno pod sufitem, automatycznie oznacza, że i ja...? Chyba nie ma co się dłużej oszukiwać.

– Ulka, ja wiem, że nigdy nie lubiłaś Piotrka, a ty wiesz, że jest moim mężem i go kocham – powtarzam to, co mówiłam już niezliczoną ilość razy. – Obie zaś wiemy, że ta dyskusja nic nie da.

– Oli, ja tylko chcę, żebyś była szczęśliwa.

– Pewnie – szepczę i pochylam głowę, by uciec przed jej świdrującym spojrzeniem.

Ula wie sporo na temat moich relacji z Piotrkiem. Ale nie wszystko. Nikt nie wie. Tak naprawdę to jedyna istotna rzecz w całym moim życiu, którą się z nią nie podzieliłam. Nie okłamałam jej – po prostu przemilczałam większość faktów, co bywa jeszcze gorsze. Ale ona robi to samo, jeśli chodzi o Konrada.

Jedno z naszych dziecięcych przykazań z tak zwanego paktu przyjaźni brzmiało: „Mówimy sobie o wszystkim”. I choć w wieku niemal dwudziestu siedmiu lat dobrze wiem, że nasze dziesięcioletnie wersje były znacznie bardziej naiwne i mniej znały życie, to czasami pragnę wrócić do tamtych beztroskich chwil. Chwil, w których największym problemem był wybór smaku lodów albo czwórka zamiast piątki z przyrody. Chwil, kiedy nie wiedziałam jeszcze, podobnie jak moja mama, że ojciec ją zdradza.

– Muszę iść. – Ulka zerka na telefon i wstaje z fotela. – Sknocili coś z projektem, trzeba ratować. Zapłacisz? Stawiam następnym razem.

W przeciwieństwie do mnie Marron poszła do pewnego stopnia w ślady matki i ojca i wybrała architekturę. Ja, córka lekarza i pielęgniarki, uciekłam od medycyny tak daleko, jak tylko się dało.

– Jasna sprawa – potakuję i patrząc, jak odchodzi, rozmyślam, jak subtelnie łamiemy drugi punkt paktu.

„Nie okłamujemy się”.

* * *

Kwiecień 2008

– Głowacka, cholera, nie zachowuj się jak dziecko! – karci mnie Ulka.

– Nie zachowuję się jak dziecko! – warczę przez zaciśnięte zęby, nawet nie patrząc na moją tak zwaną najlepszą przyjaciółkę. Nie zasługuje na to. Swoją drogą dobrze, że siedzę, a nie stoję, bo mogłabym jeszcze tupnąć i tym samym potwierdzić jej opinię.

– Ta, jasne – ironizuje Ulka. – Słuchaj, nie mamy po trzynaście lat, żeby uważać chłopaków za zło konieczne i wielbić świat przedstawiony w *Seksmisji*¹. Lada chwila będziemy pełnoletnie.

– To, że niedługo będziesz mogła kupić legalnie alkohol, jeszcze nie czyni z ciebie dojrzałej osoby – zauważam, wciąż wpatrując się w otwarty zeszyt do matematyki. – Choć właściwie tobie wszystko jedno, Czarek ma dwadzieścia lat.

– Dobrze wiesz, że on ma na imię Marek. – W głosie Ulki słyszę złowrogą nutę, która nie wybrzmiewa jednak tak mocno, jak by mogła, ponieważ z racji trwającej lekcji matematyki musimy szeptać.

Ryzykujemy, prowadząc batalię akurat na tych zajęciach. Nasz nauczyciel, stary jak świat profesor Piliński, którego wszyscy nazywamy „Piłą”, nienawidzi niesubordynacji i jakichkolwiek pogaduszek. Tak naprawdę nie wiem, czy istnieje coś, co on lubi. Oprócz maltretowania licealistów liczbami, rzecz jasna. Chyba uważa, że każdy uczeń humana powinien kochać matematykę, szczególnie ten uczęszczający do najlepszego ogólniaka w mieście. Moja klasa od początku pozostaje wyjątkowo odporna na jego starania, choć zazwyczaj na matmie panuje cisza; przynajmniej zachowaniem staramy się nie podpaść.

Teraz jednak sytuacja jest inna. Z niewiadomego powodu Ulka postanowiła wystawić dzisiaj naszą wieloletnią przyjaźń na ogromną próbę.

– ...nienawidzisz mężczyzn z powodu swojego ojca i przekładasz to na cały gatunek!

– Nieprawda! – Aż się opluwam na takie niedorzeczności. – Kocham mojego brata, choć wkurwia mnie czasem bardziej niż ty, lubię Krzyśka i Nochala, a że inni się do niczego nie nadają, to nie moja wina.

– Krzysiek i Nochal to nasi kumple od podstawówki! – wytyka mi Ulka i dodaje bez cienia zawahania: – Zamknęłaś się na relacje z płcią męską, odkąd wyszła na jaw afera z twoim starym, a to było dobre pięć lat temu! Pięć, Oli! Ktoś w końcu musi ci to powiedzieć, bo inaczej nigdy się nie ogarniesz!

– A czy pani, pani Marron, może się wreszcie wraz z koleżanką Głowacką „ogarnąć”, jak to mówicie w tym waszym dziwnym, młodzieżowym slangu? – Za naszymi plecami rozlega się głos Piły, a my zamieramy. Nauczyciel nachyla się nad nami, tak że możemy powąchać zdecydowanie nie najprzyjemniejszy zapach wydobywający się spod jego pach.

Nie to jednak jest najgorsze. Najgorsze, że nie mam możliwości, żeby pokazać, jak zbulwersowały mnie słowa Ulki i że najchętniej wyszłabym z tej sali i poszła prosto na boisko zapalić szluga.

Mamy przejebane.

– Ile, panie profesorze? Trzy czy pięć? – pytam zrezygnowanym tonem, chcąc zdusić jego tyradę w załączku. Dobrze wiem, jaki będzie finał tej sprawy, więc po co przedłużać?

– Pięć. Dam wam zadanka po lekcji. – Piła uśmiecha się obleśnie. – Macie na nie dwa dni, a nie są łatwe. Mam serdecznie dość waszej niesubordynacji. Nie tylko wam dwóm, swoją drogą, przydałoby się trochę...

Nie słucham go dalej. Na szczęście nauczyciel odchodzi pod tablicę, więc nie widzi, jak klnę pod nosem, ściskając długopis tak mocno, że bieleją mi kłykcie.

Nie mogło być, kurwa, gorzej. Czeka mnie porcja dodatkowych zadań z matmy, których treści zazwyczaj w ogóle nie rozumiem, nie mówiąc o próbach ich rozwiązania. Ale przynajmniej Ulka dostała tę samą karę i nie będzie spotykać się tak często z Mareczkiem.

Skutecznie ignoruję niewygodną myśl, że być może nie jestem sprawiedliwa wobec przyjaciółki, i próbuję skupić uwagę na wielomianach. Marron idzie w moje ślady, otwierając podręcznik od matmy i mruczając coś pod nosem.

Nigdy wcześniej nie nienawidziłam jej tak mocno. Nawet gdy w wieku dziesięciu lat zepsuła mojego ulubionego Furby'ego.

1 Kultowa polska komedia, przedstawiająca świat bez mężczyzn, reż. J. Machulski.

Rozdział drugi

Czerwiec 2017

– Podbródek wyżej. I bardziej na skos! – wołam, zmieniając ustawienia obiektywu, i ponownie fotografuję stojącą kilka metrów przede mną parę. – Dobra, zmiana pozycji i robimy oświadczyzny.

Gdy modele bez słowa spełniają polecenie, pozwalam ukochanej lustrzance zawisnąć swobodnie na mojej szyi. Chwytam butelkę wody gazowanej stojącą na jednym z dużych reflektorów i pociągam solidny łyk. Chociaż wolę niegazowaną, ta jest teraz niczym wybawienie – znacznie lepiej gasi pragnienie. Jestem spocona pomimo klimatyzacji. Mam wrażenie, że w moich tętnicach zamiast krwi płynie adrenalina – jak zawsze, gdy fotografuję w tak zawrotnym tempie. Gdy łapię *flow*².

Uwielbiam fotografować. Jako małolata biegałam z aparatem analogowym dziadków albo nieco nowszym taty i pstrykałam zdjęcia wszystkiemu, co wydało mi się interesujące. Z biegiem lat niewinne hobby stało się prawdziwą pasją. Wciąż mogę fotografować praktycznie wszystko, tylko że teraz za pomocą zdecydowanie lepszego sprzętu. Do mojej kolekcji należą między innymi Kaśka, której używam teraz, i Zośka. Od kilku lat nazywam swoje aparaty, co ludzie w studiu uważają za dziwactwo. Ich sprawa.

– Przyciemnij trochę górne światło – wołam do oświetleniowca z tyłu – a my, Ruda, przestawimy ten reflektor. – Kiwam na stojącą obok mnie nastolatkę.

– Oliwia, ty naprawdę nie umiesz odpoczywać, napiłabyś się chociaż tej wody porządnie – odpowiada Ruda, poprawiając kosmyki wpadające do zielonych oczu.

Patrzę na nią uważnie i po raz kolejny nie mogę powstrzymać westchnienia zachwytu. Rzadko zdarza się tak piękny naturalny kolor włosów, w dodatku zadbanych i wyjątkowo długich. Nie potrafię zliczyć, ile razy prosiłam tę dziewczynę, by pozowała mi do zdjęć. Robi to bez większych obiekcji tak długo, jak długo nie uwidaczniam na nich reszty jej ciała.

Nie do końca rozumiem niechęć Rudej. Owszem, nie może poszczycić się figurą klasycznej modelki, ale jej twarz jest jedną z najciekawszych, jakie kiedykolwiek widziałam. Niestety dziewczyna bardziej niż modelką chce zostać profesjonalną fotografką modową; dlatego trzy tygodnie temu dołączyła do ekipy. Choć właściwie słowo „niestety” nie jest trafne. Ruda dopiero co osiągnęła pełnoletniość i ma wielki talent, a my szczęście, że ktoś taki do nas trafił. Albo raczej do nich. W końcu ja nie należę do zespołu na stałe.

– Łap Zośkę i zrób tak, żeby pierścionek był blisko centrum fotografii, ale nieco bardziej w dolnym lewym rogu. Pamiętaj, dłonie modeli są w tej odsłonie kluczowe. Stajesz po mojej lewej – instruuje dziewczynę.

– Tak jest, Thatcherowo³ – odpowiada, salutując niczym żołnierz, i ostrożnie odbiera mi z rąk aparat. – Nadal nie mogę uwierzyć, że je nazywasz.

– A ja nie mogę uwierzyć, że nazywasz mnie Thatcherową, jak reszta tych oszołomów! – stwierdzam na tyle głośno, by mieć pewność, że usłyszą

mnie wszyscy obecni. Jednocześnie nie potrafię zachować stuprocentowej powagi i uśmiecham się pod nosem.

– Dobrze wiemy, szefowo, że nas za to kochasz. Ups, przepraszam, Thatcherowo! – woła z tyłu oświetleniowiec.

Nigdy nie muszę go dodatkowo instruować. Dokładnie wie, jakie światło chcę uzyskać. A brak uwag z mojej strony nie zdarza się często. Właściwie dotychczas tylko jedna osoba, z którą współpracowałam przy fotografowaniu, zachowywała się tak, jakby czytała mi w myślach, ale o niej wolę nie pamiętać.

Jeśli chodzi o fotografię, jestem totalną wariatką, i to nie dlatego, że nazywam aparaty. Od innych wymagam tylko nieco mniej niż od siebie. W studiu pragnę mieć kontrolę nad wszystkim. Inaczej niż podczas pracy z naturą. Między innymi właśnie dlatego moim ukochanym miejscem do robienia zdjęć jest plener. Tam czuję się naprawdę wolna.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak fotografowałam.

– Pogadacie sobie później – odzywa się pozująca modelka, przeciągając samogłoski, jakby mówiła z obcym akcentem, chociaż z jej portfolio pamiętam, że pochodzi z Łodzi. – Nie mam całego dnia. Gdyby nie wasza opieszałość, to już wczoraj byśmy skończyli. Tak jak było w kontrakcie.

Ledwo powstrzymuję się od przewrócenia oczami. Plener jest lepszy jeszcze z jednego powodu. Istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo spotkania idiotów. A nawet jeśli, nie trzeba z nimi rozmawiać. Ale gdyby nie „Pryzmat”, pewnie w ogóle bym nie fotografowała, czego z kolei bym nie przeżyła. Uwielbiam ekipę pracującą tu na stałe, a Wojtek Walicki, właściciel studia, toleruje, choć nie bez „ale”, mocno nieregularny tryb, w jakim dla niego pracuję. Pewnie tylko dlatego, że znamy się jeszcze z czasów studenckich.

– Świetnie, że poruszyłaś kwestię kontraktu – stwierdzam słodkim tonem, wpatrując się w modelkę, której imienia nie pamiętam. – Pozwól mi przypomnieć, że na trzeciej stronie znajdują się zapisy na temat przygotowań do sesji, w tym czasu ich trwania. Przeznaczonego, między innymi, na makijaż czy fryzurę.

– To nie moja wina, że wasza fryzjerka nie potrafi używać lokówki! – Modelka, zastępująca chorą koleżankę po fachu, podnosi głos, przez co niemal piszczy.

To automatycznie sprawia, że czuję nutkę mściwej satysfakcji, ale w tym samym momencie patrzę na stojącego obok niej modela, którego znam akurat bardzo dobrze. Chłopak ogólnie ma bardzo wyrazistą mimikę. Potrafi pokazać każdą emocję w takim stopniu, o jaki go poproszę, i między innymi dlatego tak bardzo lubię robić mu zdjęcia. Teraz jednak jego główny atut mnie pokonuje. Model patrzy bowiem na swoją towarzyszkę z prawdziwym niesmakiem. Uczuciem, które znam aż za dobrze i które rozpoznałabym u każdej, nie tylko tak ekspresyjnej, osoby. Uczuciem, którym jestem obdarzana zbyt często.

Po plecach przebiega mi zimny dreszcz.

„Gdyby ktokolwiek z nich zobaczył mnie poza tym pokojem, w życiu by nie uwierzył”, myślę chyba po raz tysięczny. Nigdzie nie zachowuję się tak jak tutaj. Już nie.

– Thatcherowo, ogarniesz, jak nas wszystkich wyprostować, w ramach planowania opanowania świata w swoim centrum dowodzenia dzisiaj wieczorem. Teraz przejdźmy do roboty. – Wrywa mnie z zamyślenia donośny głos oświetleniowca.

Nie odpowiadam od razu, choć powinnam. W końcu to ja tu rządę, choć jednocześnie do niczego się nie zmuszam. Dlatego tak bardzo nie lubię, gdy coś wybija mnie z rytmu podczas sesji. Studio jest bowiem

jedynym miejscem, gdzie – niemal zawsze – wszystko wychodzi tak, jak tego pragnę.

Chce mi się płakać na samą myśl, że za dwa dni nie będę tego miała na bliżej nieokreślony, lecz z pewnością długi czas. Pojutrze Piotrek wraca z Gdańska.

Tęsknię za nim, oczywiście. Dobrze, że wraca.

– Nie pyskuj, mądralo, tylko przyciemnij jeszcze trochę prawe górne światło – stwierdzam bardziej dla zasady niż z konieczności i włączam Ankę, mój najstarszy, najwierniejszy aparat.

Przez kilkadziesiąt minut jesteśmy tylko ja i moja pierwsza miłość.

Choć to początek tej drugiej pamiętam bardzo dokładnie.

* * *

Luty 2013

O klubie, w którym jesteśmy, słyszałam, zanim zaczęłam studia. Wszyscy zachwycali się muzyką, alkoholem, a przede wszystkim atmosferą. Osobiście nie widzę w nim nic nadzwyczajnego. Zlokalizowany w podziemiach, z niewystarczającą liczbą bordowych kanap poustawianych pod ścianami i niskich mahoniowych stolików, jest zdecydowanie za głośny dla kogoś, czym marzeniem nie jest jedynie taniec lub spicie się do nieprzytomności.

Popijam żurawinowego redd'sa, bezmyślnie stukając w komórkę. Dopóki DJ nie puścił śmierdzącego, dusznego dymu, przez który nic nie widać, mogłam przynajmniej robić zdjęcia, choć daleko im było do doskonałości. Teraz nie mam możliwości zająć się nawet tym.

– Oliwia, chodź na parkiet. – Przede mną wyrasta zbyt pijana, by stać prosto, kumpela z grupy. – Wcześniej tańczyłaś, a teraz siedzisz stę... smętnie w kącie.

– Wcześniej grali muzykę, do której dało się tańczyć. Odkąd zmienił się DJ, to jakaś masakra.

– No co ty, tamten przynudzał, zero efektów specjalnych i same stare bzdury... bzdety, teraz przynajmniej można poszaleć! – Szarpie za rękaw mojej czarnej, koronkowej bluzki i widzę, że bez podstępu nie uda mi się od niej uwolnić.

– Dobra, tylko do kibla wcześniej pójde. Wiesz, jakie jest piwo. Moczopędne.

– Mocz... co?

– Przypilnuj nam miejsca! – Próbuję przekrzyczeć muzykę i wstaję z całkiem wygodnej kanapy. Mam nadzieję, że koleżanka jest na tyle zmęczona, że mnie posłucha. Nie sądzę, żeby pozostawione samotnie sweterki i żakiety odstraszyły kogoś na tyle, by nie zajął wyjątkowo dobrze zlokalizowanego stolika.

Gdy przedzieram się przez parkiet i chcąc nie chcąc, ocieram o ciała obcych studentów, mam ochotę rozerwać moich przyjaciół na strzępy. Nie wiem, które z nich bardziej. Andrzeja za to, że namówił mnie na tę imprezę („Przecież będą grali lata osiemdziesiąte, no proszę!”), czy Ulkę za obietnice bez pokrycia („Dawaj, pogadamy sobie wszyscy razem, tak dawno się nie widzieliśmy!”).

Gdyby faktycznie grali tutaj muzykę lat osiemdziesiątych, jak przez pierwszą godzinę, i dało się normalnie porozmawiać, bawiłabym się nieźle. Ale po pierwsze, warunków do konwersacji nie ma, a po drugie, jestem skazana na pijane koleżanki, ponieważ przyjaciele mają mnie w poważaniu. Andrzej zniknął pół godziny temu, bo jego beznadziejny chłopak postanowił mu „przebaczyć” po kolejnej kłótni, a Ulka zaszyła się z Konradem w jakimś kącie.

A przynajmniej mam nadzieję, że w kącie. Nie jestem fanką darmowego porno.

„Ale z ciebie zrzęda, gorsza niż matka”, słyszę w głowie denerwujący głos brata bliźniaka. Najgorsze jest to, że gdyby Paweł tu był, nawet nie mogłabym się odciąć.

Może i jestem zrzędą, ale nie lubię oszukiwania. To kojarzy się ze zdradą, której nienawidzę najbardziej ze wszystkich możliwych występków. A jak inaczej niż oszustwem można nazwać to, że ktoś chwali się, że zrobi najlepszą imprezę z muzyką z lat osiemdziesiątych w Warszawie, a następnie puszcza coś, co przypomina przypadkowe obijanie się o siebie różnych metalowych przedmiotów? Albo to, że twoja najlepsza przyjaciółka prosto w oczy obiecuje ci, że spędzi z tobą czas, a od razu po przybyciu do klubu znika gdzieś ze swoim ukochanym? Nawet jeśli nie widziała Konrada ponad pół roku, bo wyjechał na Erasmusa, to powinna mieć resztki przyzwoitości!

„Ty naprawdę musisz sobie kogoś znaleźć”, odzywa się ponownie niechciany głos Pawła.

Jak tak dalej pójdzie, to dostanę psychozy.

Nie chcę nikogo ani na stałe, ani na chwilę. Faceci nie są mi potrzebni do szczęścia. A przynajmniej nie w sensie romantycznym. Brat, przyjaciel, kumpel – jak najbardziej. Ale związki? Randki? Albo, co najlepsze, miłość? Nie, dziękuję.

– Uważaj, jak chodzisz, palancie! – krzyczę do pleców jakiegoś dryblasa, który podczas drogi przez mękę, czyli parkiet pełen studentów, nadepnął mi boleśnie na stopę i prawdopodobnie nawet tego nie zauważył. Dobrze, że zignorowałam wcześniejsze rady Ulki i zamiast szpilek wybrałam ukochane butelkowiezielone balerinki, gdyż przynajmniej utrzymuję równowagę.

Kiedy wreszcie udaje mi się przedrzeć przez masę spoconych, pijanych ludzi, z ulgą wciągam powietrze. Nawet mieszanka dymu puszczonego przez DJ-a z tym papierosowym mi nie przeszkadza, bo wiem, że nie muszę już używać łokci, by zrobić chociaż krok. Wychodzę na niewielki korytarz i zaczynam iść schodami w górę. Mam nadzieję, że prócz kolejki i braku papieru toaletowego nie spotkają mnie żadne przykre niespodzianki.

Niestety to nie mój dzień.

– Siemka, mała. Wpadłaś na mnie i po prostu sobie poszłaś? – Ktoś chwyta mocno mój łokieć i odwraca mnie o sto osiemdziesiąt stopni. To musi być dryblas z parkietu. A więc jednak zauważył moją mierzącą niecałe metr siedemdziesiąt osobę, brawo. – Mama nie nauczyła cię dobrego zachowania? No chyba że wolałabyś wejść na mnie, to inna sprawa... Au, zwariowałaś, idiotko?

Dopiero gdy napastnik łapie się za policzek, a moja ręka aż pali z bólu, zdaję sobie sprawę, że – skorzystawszy z tego, iż stoję na wyższym stopniu – sprzedałam mu naprawdę mocnego sierpowego. Czyli jednak prześladowający w myślach brat bliźniak miłujący sztuki walki na coś się w życiu przydaje.

– Kurwa, popierdolona jesteś?! – drze się dryblas niczym poparzony i chwyta mnie jeszcze mocniej.

Syczę z bólu i rozglądam się gorączkowo. Jak na złość nikt nie nadchodzi.

– Idź sobie – mówię przez zaciśnięte zęby, mimo że na plecach czuję dreszcz.

– A co, jeśli nie pójdę?

– To ja ci pomogę. – Słyszę za moimi plecami głęboki, nieznamy głos.

– Dobra, koleś, luzuj portki, weź ją sobie, po co mi taka sztywniara? –
Dryblas robi się nagle ugodowy i znika ze schodów.

Ja tymczasem odwracam się w kierunku niespodziewanego wybawcy.

Przede mną stoi niemal tak samo wysoki, jak niedoszły oprawca, umięśniony brunet o szarych oczach, taksujących mnie teraz z góry na dół. W granatowej koszuli i czarnych dżinsach, emanuje pewnością siebie kogoś, kto czasy studenckie ma dawno za sobą. Mocne piżmowe perfumy przebijają się nawet przez dym i omotują mnie równie skutecznie, co jego szeroki uśmiech. Zdecydowanie mój typ.

Zanim zdążę uzmysłwić sobie, jak bardzo sztampowe jest to spotkanie, wyciąga rękę i przedstawia się:

– Piotrek Malecki.

² W psychologii pozytywnej termin oznaczający całkowite zaangażowanie w wykonywanie danej czynności, uskrzydlenie, aż po euforię.

³ Od nazwiska Margaret Thatcher (1925–2013), pierwszej kobiety-premiera Wielkiej Brytanii (1979–1990), nazywanej Żelazną Damą z powodu swojego stanowczego stylu rządzenia.

Rozdział trzeci

Czerwiec 2017

Lubię sprzątać chyba od zawsze. Niecodzienne hobby stanowiło moją największą zaletę w oczach rodzeństwa w dziecięcych i nastoletnich czasach, szczególnie w przypadku Pawła, który płakał na samą myśl o zaścieleniu łóżka, a co dopiero o posprzątaniu pokoju.

Co prawda mama rozdzielała obowiązki domowe sprawiedliwie pomiędzy całą naszą trójkę, jednak ani brat, ani siostra absolutnie nie oponowali, gdy za plecami rodziców odwalalam za nich robotę. W zamian miałam zrobioną przez Pawła na tip-top pracę domową z matmy i fizyki i pyszne smakołyki od siostry. Gosia od małego uwielbiała piec.

W przeciwieństwie do mnie i siostry brat połączył swoją dziecięcą pasję, czyli zamiłowanie do przedmiotów ścisłych, z tą do morza i po zakończeniu liceum przeprowadził się do Gdyni, by zostać marynarzem. Mama zareagowała na to chyba jeszcze mniej przychylnie niż na wieść, że ja wybrałam kulturoznawstwo i iberystykę, a później pracę jako fotografka.

Jedynie wybór Gosi ją usatysfakcjonował, przynajmniej ten dotyczący ścieżki zawodowej, ponieważ mama nie popierała mężczyzny, którego moja starsza siostra wybrała na męża. Gośka, a jakże, skończyła w Poznaniu medycynę, którą matka widziała jako wymarzony zawód dla całej naszej trójki.

Cóż, Alicja Głowacka uwielbia porządek nie tylko w sensie dosłownym, ale również w życiu własnych dzieci. Ja natomiast nie lubię ani jej wtrącania się we wszystko, ani utrzymywania porządku jako takiego. Uważam, że czasem tak zwany artystyczny nieład może być bardziej inspirujący niż sterylna czystość. W tym znacznie różnię się od mamy, której od dawna mówimy, że przy niej „perfekcyjna pani domu”⁴ to nic.

W przeciwieństwie do niej nie układam książek na półce pod względem wielkości ani nie wstaję z łóżka, gdy tylko zobaczę zawieruszony na podłodze paproch, aby wyrzucić go do kosza. Lubię samą czynność sprzątania – ścierania kurzu czy odkurzania. Właściwie z obowiązków domowych nie przepadam jedynie za zmywaniem – chwała temu, kto wymyślił zmywarę. Sprzątanie mnie odstresowuje, no i ma natychmiastowy efekt – było brudno i nie jest. Proste i łatwe. I nie przeszkadza mi nawet to, że lada chwila pobrudzi się ponownie, co niezmiennie dziwi Pawła. Tak samo mogłaby powiedzieć Gośka na temat ciast – skoro zaraz wszyscy je zjedzą, po co je robić? Z takim nastawieniem ludzkość do niczego by nie doszła.

Kiedy zamieszkałam z Piotrkim, moja miłość do sprzątania, zajmowania się domem, a nawet przygotowywania posiłków sięgnęła zenitu. Byłam tak podekscytowana nowiuteńkim, sześćdziesięciometrowym mieszkaniem na Saskiej Kępie, na które udało nam się dostać kredyt, że przez pierwszy rok cały czas coś w nim ulepszałam bądź je sprzątałam. Mojej ekscytacji nie zmniejszył fakt, że wiele pierwotnych planów urządzenia naszych czterech kątów, stworzonych jeszcze przed ślubem, legło w gruzach – głównie dlatego, że Piotrkowi zmieniła się koncepcja. Byłam zachwycona, że jestem panią domu i mogę wykazać się przed osobą, którą kocham i z którą niedługo powiększę rodzinę.

Przynajmniej wtedy tak myślałam. Ba, nadal myślę. Przecież kiedyś nam się uda; musi, skoro oboje tego chcemy.

Potrząsam głową, by zatrzymać łzy zbierające się w kącikach oczu. Nie mam powodu ani tym bardziej czasu, żeby się nad sobą uzalać. Piotrek wraca jutro wieczorem i ja i dom musimy być gotowi na jego przybycie. Przenoszę stojący na środku przedpokoju mop do kuchni. Podśpiewując do lecącego w słuchawkach Eda Sheerana, myję jasnobeżową podłogę. Gdy Piotrek jest w domu, nie mogę sobie pozwolić choćby na nucenie. Cóż, nie mam do tego talentu – moje zawołanie ma prawo go denerwować.

Mój mąż nie przepada również za sprząaniem w jego obecności; uważa, że mam na to wystarczająco dużo czasu, gdy pracuje. Ale lubi porządek chyba nawet bardziej niż moja mama. Kawalerka, którą wynajmował, zanim zamieszkaliśmy razem, była utrzymana w idealnym porządku dzięki jego sąsiadce z Ukrainy. Wiele osób uznałoby to za dziwactwo, ale ja wiem, dlaczego Piotrkowi zależy na idealnej czystości: w jego rodzinnym domu w Tarnowie zawsze panował niewiarygodny bałagan, a on zrobi wszystko, by jego mieszkanie w niczym nie przypominało tamtego miejsca. Dzięki temu, że znam jego przeszłość, rozumiem też, dlaczego nie chce, żebyśmy mieli sprzątaczkę. Piotrek nie ufa ludziom, a skoro ja nie pracuję na stałe...

Już dawno tak ustaliliśmy, nie ma co rozmyślać. A ja bardzo lubię sprzątać. Chociaż trochę mniej niż wcześniej.

Po moich policzkach spływa kilka łez. Nie wiem dlaczego; przecież sprzątam, i to tak, jak lubię – z głośno nastawioną muzyką i w kolejności, o której sama zdecydowałam. Piotrek wraca jutro po tygodniu nieobecności i już dawno zapowiedział, że zabierze mnie do naszej ukochanej restauracji na sushi. Antykoncepcji nie biorę od prawie dwóch lat, nie zbliża mi się okres, więc nie rozumiem, skąd taka huśtawka nastrojów.

Przyciskam mop do podłogi tak mocno, że kij aż trzeszczy. Ze złością prostuję się, a mój wzrok pada na sterylnie biały kuchenny parapet. Pusty. Nie ma tam nic, żadnego kolorowego akcentu – Piotrek lubi klasyczne wnętrza, bez kwiatów, które tak uwielbiam, a których on nie toleruje. Nie ma też Pchełki – mojego ukochanego kota, bo Piotrek jest uczulony na kocią sierść i trzy lata temu musiałam Pchełkę oddać. Uwielbiała przesiadywać na wszystkich dostępnych parapetach. Nie wiem, nawet w przybliżeniu, ile fotografii zrobiłam jej w moim studenckim mieszkaniu czy w Koninie.

Wiem od Uli, że Pchełka ma się dobrze. Sama nie mogę się tego dowiedzieć bezpośrednio od jej obecnego właściciela. Nie rozmawiałam z Andrzejem od kilku lat. Ta myśl prawie nie robi na mnie wrażenia, czuję tylko niewielki ucisk w żołądku, echo tego, co odczuwałam wcześniej. Nie powinnam czuć nic. Przecież w życiu bywa tak, że drogi ludzi się rozchodzą. Nie ma co rozpamiętywać. Ani żałować.

Zamykam oczy i zagryzam wargę. Może ból sprawi, że się uspokoję, a Andrzej opuści moje myśli. Już wolę wspominać Pchełkę.

* * *

Lipiec 2011

– Nie wierzę! Naprawdę, ja nie mogę być z wami spokrewniony. Pojęcia nie mam, kto jest bardziej rąbnięty, ty czy rodzice! – Paweł kręci z udawanym przerażeniem głową i siada z hukiem na huśtawce.

– Nie bądź taki cwaniak, bo zaraz się to ustrojstwo pod tobą zawali. Nie mamy już pięciu lat ani tylu kilogramów, ile mieliśmy wtedy, drogi braciszku. Szczególnie ty – mówię słodko, wciąż skupiona na maleńkim cudzie, który trzymam na kolanach.

– Gdyby odjąć masę mięśni, byłbym chudszy od ciebie. – Zaczyna się huścić. – Nie bój się, ten plac zabaw jest nieśmiertelny.

– Brakuje tylko, żebyś zaczął całować własne bice, Johnny Bravo⁵. Nie po to dziadek zbudował nam plac zabaw, żeby nie doczekał się naszych dzieci – parafrazuję babcię, z trudem odrywam wzrok od brązowo-białego zawiniątka i obrzucam brata rozbawionym spojrzeniem.

Mimo że Paweł dobił metra dziewięćdziesięciu wzrostu, jego twarz nadal wygląda bardzo młodo. Mam podobnie. Niedawno skończyliśmy dwadzieścia jeden lat i doprowadza mnie do szału, kiedy jestem proszona o dowód osobisty, gdy chcę kupić chociażby piwo smakowe.

– Na nasze to nie wiem, ale na pociechę Gośki na pewno się doczeka – stwierdza Paweł, zeskakując z huśtawki i siadając obok mnie na murku.

Mamy szczęście w postaci dwupiętrowego domu z dużym ogrodem, gdzie wychowywaliśmy się, odkąd skończyliśmy cztery lata. Po rozwodzie rodziców ojciec wyprowadził się do swojej nowej rodziny. Nigdy nie domagał się od mamy żadnego zadośćuczynienia, mimo że tak naprawdę to on wyłożył większość pieniędzy potrzebnych na budowę. Właściwie szkoda, bo gdyby się domagał, mogłabym go po prostu znienawidzić i nikt nie miałby do mnie pretensji.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć. – Wzdycham częściowo z niedowierzania, a częściowo z gorąca. – I że akurat Gośka z całej naszej trójki?! Ty byłbyś oczywistym kandydatem, ale ona?

– Z tym, że byłbym pierwszy, kłócić się nie mogę – stwierdza Paweł z udawanym smutkiem. – Ale w tym rankingu naszą świętą i nieskazitelną do tej pory siostrę stawiałbym mimo wszystko przed tobą. Masz się za zagorzałą feministkę, teraz jeszcze własny kot... No *sorry*, ale sama nie wpadniesz.

Klepię go mocno w ramię za tę seksistowską uwagę i głaszczę kotka, leżącego na moich kolanach. Pchełka w odpowiedzi mruczy głośno i przymyka oczy. Jest absolutnie urocza. W takich chwilach uwielbiam moich rodziców, nawet tatę. Pomimo rozwodu zawsze dają nam na wszelkie okazje wspólne prezenty.

– Nie obrażaj Pchełki, bałwanie! Sam uwielbiasz zwierzęta, jak każdy w tej rodzinie. A to, że nie chcę mieć chłopaka, nie oznacza, że nie interesują mnie dzieci! – krzyczę oburzona i odwracam wzrok od brata, tym razem nie tylko dlatego, że chcę skupić się na kocie.

– Nazwałaś kota „Pchełka”? – Paweł sprytnie zmienia temat. Gang zwierzątek, które mieszkają w naszym domu rodzinnym, ku mojemu zdziwieniu gdzieś zniknął. Pewnie śpią po jedzeniu. – Okej, znam już odpowiedź na moje wcześniejsze pytanie. Jesteś bardziej rąbnięta od rodziców.

– Oni dali ci na urodziny najnowsze playstation! – odpyskuję. Podobnie jak Paweł, stałam się mistrzynią słownych potyczek. Ćwiczymy to na sobie całe życie. – Chyba naprawdę nie chcą, żebyś skończył tę szkołę marynarską. Więc mimo wszystko ten ranking wygrywają starzy, *sorry*, mały.

– Duża się odezwała. Ale może i racja – stwierdza zamyślony. Wyjmuje zapalniczkę i przekłada ją automatycznie w rękach, jednak nie wyciąga papierosów.

Jestem z niego dumna – nie pali już osiem dni. Duma szybko mija, kiedy Paweł ponownie się odzywa:

– Dałabyś temu Bartkowi szansę.

Oczywiście nie mógł odpuścić.

Mrozę go spojrzeniem. Nie robi to na nim najmniejszego wrażenia, za dobrze zna moje sztuczki.

– Dobrze wiesz, że nie mam zamiaru – odpowiadam nieco za głośno. – Cieszę się, że układa ci się z Iwoną, że Ula i Konrad się dobrali, a Andrzej kręci z jakimś nowym chłopakiem, bo każdy jest lepszy od Sebastiana. Wiem, że wszyscy jesteście szczęśliwi – dodaję nieco ciszej oraz poważniej. – A ja jestem zadowolona sama ze sobą i powinniście to uszanować, a nie bawić się w swatki za moimi plecami!

Paweł patrzy na mnie w milczeniu, a w jego oczach nie widzę dobrze znanej isierki rozbawienia. Otwiera usta, by odpowiedzieć, ale od strony domu słyszemy okrzyki matki:

– I to jeszcze z Grekiem, Małgorzatko? Z kucharzem?! Jak on was utrzyma w ogóle?

– Przepraszam bardzo, ale przeszkadza ci to, jakiego jest pochodzenia? Jesteś rasistką czy co?! – woła piskliwie moja siostra i wychodzi na werandę.

W długiej do kostek zwiewnej spódnicy i beżowej cienkiej bluzce sunie w naszą stronę z przerażającą prędkością. Za nią w sandałach na wysokim koturnie idzie matka w jednym ze swoich nieśmiertelnych kostiumów, tym razem bordowym. Za obiema podąża burza loków koloru ciemnej słomy, których tak bardzo im zazdroszczę. Sama odziedziczyłam po ojcu nijakie, brązowe i do bólu proste włosy.

Przełykam ślinę. Zapowiada się kolejna dawka najnowszej rodzinnej dramy.

– I co, twoim zdaniem po to mi chłopak? Po to mi wielka miłość? Żeby mieć takie problemy? Dzięki, ale spaszuję – szepczę do brata, zanim zdążą podejść na tyle blisko, by wciągnąć nas w kolejną kłótnię o tej samej treści, co wszystkie poprzednie od trzech dni, choć ja na szczęście uczestniczę w nich dopiero od wczoraj.

Z relacji Pawła wynika, że gdy tylko Gośka wróciła do Konina, ze łzami w oczach poinformowała rodziców, że jest w ciąży. Co prawda, odkąd dziś rano dowiedziała się, że Petros nie zamierza zostawić jej z powodu wpadki, już nie płacze, ale mama lamentuje za nie obie. Ojciec z kolei nie ma nic przeciwko, skoro Gosia nie zostanie sama. Tyle że on prawie nigdy nie ma nic przeciwko. Pewnie dlatego, że do dziś czuje się winny za to, co zrobił.

– Błagam, powiedzcie jej, żeby dała mi nareszcie spokój! Nie mogę się tak denerwować! – Cienki z natury, teraz niebezpiecznie przypominający pisk starych czajników głos Gośki wwierca mi się w czaszkę. – Nie będę po raz tysięczny jej powtarzać, że urodzę to dziecko i będę je wychowywać z Petrosem, czy ona tego chce, czy nie!

– Dziecko, nigdy nie mówiłam, że nie chcę, byś je urodziła! – krzyczy matka. – Ale czy zastanawiałaś się w ogóle, jak będziecie je wychowywać? Za co, Małgorzatko? No i to nazwisko, przecież tego się nie da wymówić.

– „Karangounis”, ile razy mam ci powtarzać?! I niedługo otwiera restaurację w samym centrum Poznania. A tata na pewno mi pomoże. I nie nazywaj mnie tak, dobrze wiesz, że nienawidzę tego zdrobnienia!

– Nawet nie myśl, żeby go prosić o pie...

– Mamo, dobrze wiesz, że tak czy siak tata to zrobi. – Pawłowi udaje się wtrącić w ich kłótnię.

Wszystkie trzy wbijamy w niego zaskoczone spojrzenie, choć powinniśmy być do tego przyzwyczajone. Mój brat ma niesamowitą zdolność przerywania naszych krzyków, odziedziczył to po ojcu. Oczywiście w życiu bym się nie przyznała, że uważam, że ojciec ma jakieś dobre cechy.

– Zamiast cały czas omawiać, co się stało, powinniśmy skupić się na tym, co będzie – dodaje spokojnie Paweł. – Po pierwsze twoje studia,

Gośka. Ostatni rok. Jak to widzisz?

Ta coś odpowiada, ale ja wciąż wpatruję się w brata, nie potrafiąc skupić się na konwersacji. Nawet Pchełka staje mi na kolanach, po raz pierwszy nim zainteresowana.

Nie wiem, kiedy oboje się tak zmienili. Gośka zaszła w nieplanowaną ciążę, co rok temu byłoby równie prawdopodobne, co odkrycie kolejnego naturalnego ziemskiego satelity. Paweł dorósł, czego prawdopodobieństwo mogłabym określić na takie samo, jak znalezienie trzeciego księżycy naszej planety.

Najwyraźniej tylko ja się nie zmieniam. I sama nie wiem, czy to na pewno dobrze.

⁴ Określenie na doskonałą gospodynię, od tytułu *reality show: The Perfect Housewife* (polska wersja emitowana w TVN jako *Perfekcyjna pani domu*).

⁵ Bohater serialu animowanego o tym samym tytule (1997–2004).

Rozdział czwarty

Czerwiec 2017

Odkąd wstałam, czekam na dźwięk domofonu, a i tak nerwowo podskakuję, gdy po siedemnastej rozlega się charakterystyczna melodyjka.

Mimo że zarówno mieszkanie, jak i ja jesteśmy gotowi od dobrych kilku godzin na przybycie Piotrka, to zanim pobiegnę do przedpokoju, w pośpiechu poprawiam obrusik na stoliku kawowym w salonie, a następnie fryzurę w lustrze w holu. Brązowe, podkreścone lokówką włosy spadają falami na ramiona, makijaż podkreśla zielone tęczaówki z miodowymi kropeczkami tuż obok źrenic. Z mojego wyglądu najbardziej lubię właśnie oczy, a najmniej nieproporcjonalnie duży, w dodatku nieco krzywy nos. Nieprawidłowe zrośnięcie po złamaniu to pamiątka po jednej z bitew, które odbyłam z bratem w dzieciństwie. Strój też spełnia moje oczekiwania: w nowiutkiej, ciemnozielonej sukience do kolan z tylko jednym, prawym ramiączkiem wyglądam naprawdę dobrze. Osobiście wolałabym, żeby mój ubiór był bardziej kolorowy i mniej formalny, ale Piotrek lubi klasykę.

Gdy kończę inspekcję swojego wyglądu, słyszę pukanie. Mój mąż nigdy nie dzwoni, zawsze puka. Klnę pod nosem – byłam pewna, że zdążę mu otworzyć, zanim wjedzie windą na trzecie piętro z nie tak małym

przecież bagażem. Nie cofnę jednak czasu, więc przyklejam na usta dobrze wyćwiczony uśmiech i otwieram drzwi.

Na widok Piotrka moje serce automatycznie przyspiesza. Mąż wpatruje się we mnie z najgorszym, nieodgadnionym wyrazem twarzy. Pomimo trzydziestostopniowego upału jest ubrany w szyty na miarę granatowy garnitur, klasyczną koszulę i szary krawat, idealnie pasujący do jego oczu. Aż wzdycham – od zawsze mam słabość do eleganckich mężczyzn, nawet jeśli nie rozumiem, dlaczego mając w perspektywie cztery godziny jazdy, Piotrek nie przebrał się po konferencji w coś wygodniejszego i lżejszego.

Przepuszczam go w drzwiach, witając krótkim: „Cześć, kochanie”. W odpowiedzi rozlega się jedynie stukot kółek dużej walizki, jednak po chwili dobiega do mnie głęboki głos męża, wypowiadający dokładnie te same słowa. Oddycham z ulgą i zagajam:

– Jak minęła podróż?

– Nieźle, jedzie się stosunkowo szybko, ale nie obyło się, oczywiście, bez januszy na drodze, którzy nie mogą się zdecydować na jeden pas ruchu, albo cwaniaków w BMW, którzy nie potrafią używać kierunkowskazów – odpowiada i zdejmuję marynarkę.

Chwytam drewniany wieszak, który specjalnie przygotowałam, i przechwytnię ubranie, podczas gdy on ściąga krawat.

– Niezła sukienka, Oliwio, ale dlaczego ma tylko jedno ramiączko? Drugiego zapomnieli doszyć? – Obrzuca mnie taksującym spojrzeniem, a ja rumienię się mimowolnie.

No tak, mogłam się domyślić, że asymetria stroju mu się nie spodoba. Piotrek nienawidzi ekstrawagancji, a ja pomimo czterech lat związku wciąż zapominam, jak mały jest zakres tego, czego za takową nie uważa. Na szczęście nie muszę zastanawiać się, jak wybrnąć z tej sytuacji, ponieważ sam zmienia temat: pyta o pogodę na następne dni, a potem przechodzi do

salonu. Odpowiadam i podążam za nim, zostawiwszy walizkę w przedpokoju. Ostatnio zabrałam ją stamtąd od razu, co nie spotkało się z aprobatą Piotrka. Doskonale pamiętam jego słowa: „Później się tym zajmiesz, Oliwio. Czyżbyś już uciekała od męża, który dopiero co przyjechał?”.

Piotrek najwyraźniej nie zmienił od tamtego wyjazdu zdania, ponieważ nie komentuje mojego zachowania, tylko siada na beżowej kanapie i klepie miejsce obok siebie, a ja je posłusznie zajmuję. Obejmuje lewą ręką moją szyję, a ja czuję mocny zapach perfum Hugo Bossa i ani grama potu. Od zawsze podziwiam zdolność mojego męża do tolerancji wysokich temperatur. Mnie wystarczyłoby dziesięć minut biegu na dworze i byłabym złana potem, a on po dwóch godzinach ciężkich siłowych ćwiczeń ma jedynie nieco wilgotne czoło. Choć może wiąże się to z faktem, że nienawidzę biegać – na rowerze aż tak się nie pocę.

– Zamów sushi, kochanie. – Głęboki głos Piotrka i telefon komórkowy, który mi podaje, wyrywają mnie z zamyślenia. – Padam z głodu.

– A nie mieliśmy wyjść na miasto? – pytam, zanim zdążę pomyśleć. Rzucam mu załężnione spojrzenie; na szczęście jego twarz nie wyraża dezaprobaty, więc się rozluźniam.

– Mieliśmy zjeść sushi, Oliwio, więc proszę, zamów je i ładnie przygotuj stół. W moim bagażu znajdziesz sauvignon blanc z górnej półki, prezent od jednego z klientów, będzie pasować idealnie. Ja tymczasem pójdę się umyć. – Nie patrząc na mnie, kieruje się do toalety.

Milczę i wpatruję się w jego plecy. Cóż, mogło być gorzej. Prędko sprawdzam SMS-y – nie zwariowałam, Piotrek pisał trzy dni temu, że zabierze mnie dziś do restauracji. Wzdycham głęboko. Nie ma co żałować, wieczór spędzony w domu, we dwojkę i przy świecach, jest znacznie bardziej romantyczny.

„I znacznie bardziej nieprzewidywalny”, podpowiada niechciany głos w mojej głowie.

Odkładam na stolik mojego iPhone'a i biorę telefon Piotrka. Skoro chce, żebym zadzwoniła z jego komórki, chętnie spełnię polecenie – nieczęsto mi na to pozwala. Szybko weryfikuję, czy na pewno jest w łazience, i z bijącym sercem wchodzę w SMS-y. Jak zwykle nie znajduję nic podejrzanego, tylko wiadomości do mnie albo współpracowników. Po raz kolejny zastanawiam się, czy Piotrek nie kasuje części z nich.

Wiem, że robię źle. Zanim wyrzuty sumienia mnie zjedzą, prostuję plecy i wybieram numer jednej z najdroższych i najlepszych restauracji japońskich w Warszawie. Zamawiam ten sam zestaw, co zwykle. Następne minuty spędzam na jak najszybszym przygotowaniu stołu stojącego pomiędzy salonem a otwartą na niego kuchnią. Lubię nasz aneks, dzięki niemu mieszkanie wydaje się większe. Efekt potęgują wielkie okna, wychodzące z salonu na północ i zachód, sięgające niemal od podłogi do sufitu. Gdyby tylko wewnątrz było bardziej kolorowe, a nie biało-beżowo-brązowe, czułabym się tutaj naprawdę dobrze.

Gdy Piotrek po półgodzinie wraca do salonu, ubrany w dżinsy i ciemnozieloną koszulę, wszystko jest gotowe, nawet bezzapachowe białe świece, jak najbardziej klasyczne. Mojego męża drażni każdy intensywny zapach prócz jego własnych perfum. Nie mogę powstrzymać się od uśmiechu, kiedy obrzuca uważnym spojrzeniem jadalnię i nic nie komentuje. Rzadko się to zdarza.

– Kiedy będzie sushi? – pyta.

– Za jakieś piętnaście minut. Zawsze się długo czeka, a teraz są jeszcze godziny szczytu.

– Mogłaś zamówić wcześniej – stwierdza zimno, a ja czuję, jak moje ciało zamiera.

Na szczęście siada na krześle obitym beżowym materiałem, dokładnie w tym samym odcieniu, co sofa i fotele, gestem nakazując mi to samo. Zajmuję miejsce po przeciwnej stronie, a on nalewa do kieliszków schłodzone przeze mnie wino.

– Jak minęła konferencja? – pytam, wiedząc doskonale, że tego oczekuje.

– Nie najgorzej. Pierwszy dzień był wyjątkowo nudny, wykłady dotyczyły głównie historii prawa rzymskiego. Doprawdy nie wiem, dlaczego profesor Kraszewski uważa, że młodzi prawnicy docenią starania ukazania jego spojrzenia na niektóre aspekty od innej niż akademicka strony. Na studiach przynajmniej przedstawiano nam fakty, a nie czyjeś opinie. Wyobraź sobie, Oliwio, że...

Piotrek kontynuuje wypowiedź dobrze mi znanym, denerwującym mentorskim tonem, a ja od czasu do czasu potakuję, popijając wino. Do perfekcji nauczyłam się udawać, że słucham jego prawniczych wywodów. Nie przepytuje mnie z nich, twierdząc, że i tak tego nie zrozumie, a ja przynajmniej wtedy nie muszę się pilnować.

Dostawca sushi przerywa wywód, zapewne wciąż dotyczący prawa rzymskiego. Gdy wykładam jedzenie na stół, Piotrek idzie do toalety. Nie widzi mnie, więc pozwalam sobie głęboko odetchnąć. Wieczór przebiega lepiej niż dobrze. Gdy kilka godzin wcześniej mój ukochany zadzwonił z drogi, w jego głosie słyszałam irytację – najwyraźniej to wtedy kierowcy BMW i janusze wystawiali jego cierpliwość na próbę – więc spodziewałam się gorszego powitania. Chyba niepotrzebnie się martwiłam. Ganię się w duchu, nie po raz pierwszy, za zbyt ni pesymizm.

– Jesteś gotowa, Oliwio? – pyta szorstko, wróciwszy do jadalni. – Myślę, że wyłożenie trzech opakowań sushi nie zajmuje zbyt dużo czasu.

„Jakbyś kiedykolwiek sam je wyjął”, zauważam w myślach, ale oczywiście nic nie mówię, tylko uśmiecham się promiennie, wyrzucając pojemniki do odpowiedniego kosza. Nie moglibyśmy zacząć jeść, gdyby wokół nas wałały się puste opakowania.

Kilkanaście następnych minut spędzamy w ciszy, delektując się japońskim przysmakiem. Jak zwykle do soi dodaję nieco wasabi, czego mąż nigdy nie rozumiał, ale tym razem powstrzymuje się od komentarza. Uśmiecha się lekko. Ma dobry humor. W takich chwilach – gdy spokojnie, przy blasku świec po prostu razem jesteśmy – czuję się szczęśliwa. Niemal spełniona.

„Właściwie to dobry moment, żeby poruszyć *ten* temat”, myślę nagle, lecz rezygnuję z tego pomysłu niemal tak szybko, jak na niego wpadłam. Nie chcę niszczyć wieczoru, zresztą już jutro idę do doktora Fabiańskiego po wyniki. Będę wówczas więcej wiedzieć, by jak najrzetelniej i najspokojniej poruszyć z Piotrkim tę kwestię. Dziś nie należy się tym przejmować. „Pomyślę o tym jutro”, jak mawiała Scarlett O’Hara⁶.

Wraz z kolejną butelką wina przenosimy się na sofę. Piotrek opowiada, jak wyglądały wieczorne bankiety poważnych prawników, nie przebierając w słowach i wybierając co pikantniejsze ploteczki, a ja często wybucham śmiechem i dorzucam swoje uwagi. Rozmowa przypomina wzajemne zasypywanie się anegdotkami z początku naszego związku i sama nie wiem, czy to tematyka konwersacji, czy przepyszne wino sprawiają, że naprawdę się rozluźniam. Częściowo opatulona ramieniem Piotrka wciskam się w niego jak najmocniej i marzę, by tak było zawsze.

– ...wyobraź sobie, że wówczas temu jakże prominentnemu profesorowi, jednemu z najlepszych adwokatów w Polsce, o połowę młodszy wymoczek powiedział wprost, że jego syn jest gejem. Wymachiwał przy tym wypełnioną po brzegi szklanką whisky. Jak się

Jagodziński wkurzył, jak machnął ręką i wytrącił mu tę szklanę! Musiałabyś to zobaczyć na własne oczy, pół sali zamarło z wrażenia na ten widok. Co prawda Strzelecki dostał za swoje, bo whisky znalazła się na jego śnieżnobiałej koszuli, ale uwierz mi, wszyscy omawiali nowo odkrytą orientację seksualną synka Jagodzińskiego dogłębniej niż brudną koszulę pana S. Jagodziński junior, notabene, aspiruje do bycia równie dobrym adwokatem jak jego ojciec. A jak ci mówiłem, ta rodzinka zajmuje się między innymi ratowaniem tradycyjnych małżeństw, więc z pewnością nie są im na rękę takie plotki.

– A jeśli to nie plotki? – wtrącam, kręcąc kieliszkiem i czując radosny szum w głowie.

– Oliwio, daj spokój, przecież to niemożliwe! Młody Jagodziński jest w stu procentach heteroseksualny. Żona, ta sama od lat, dwóch nastoletnich synów.

– Nie takie rzeczy się zdarzają.

– Owszem, różne rzeczy się zdarzają, ale nie w tym przypadku. Nie dopisuj tych swoich idiotycznych teorii spiskowych. – Jego ton z lekkiego i żartobliwego staje się zimny, znacznie lepiej mi znany. Odsuwa mnie od siebie stanowczo, a ja przełykam ślinę, w duchu przeklinając własną głupotę.

Trzeźwieję w dwie sekundy. Powinnam pamiętać, jak zmienny i nieprzewidywalny potrafi być nastrój Piotrka. Wystarczy jedno źle dobrane słowo, nieodpowiednie w jego oczach zachowanie, żeby wybuchnął.

– A może chodzi ci o Andrzejka, co? Chciałabyś pewnie odzyskać z nim kontakt, żeby móc walczyć o to, by nikt go nie dyskryminował, hm? – kontynuuje kpiącym tonem, a jego szare oczy ciskają we mnie błyskawice.

– Wiesz, Oliwio, nie mam ochoty więcej z tobą rozmawiać. Idź do łóżka. Natychmiast!

Wstaję i na drżących nogach, nie oglądając się za siebie, kieruję się do naszej sypialni. Zamykam za sobą drzwi i rzucam się na łóżko, nawet nie zdejmując butów. Zanurzam głowę w miękkim jaśku i szlocham bezgłośnie.

Jestem niemal pewna, że Piotrek nie będzie ze mną spał. Szczęście w nieszczęściu, że nie chciał ze mną przebywać po tym, jak go zdenerwowałam. Gorzej, że powiedział o Andrzeju, przywołując tym samym głęboko skrywane wspomnienia. W końcu od jakiegoś czasu robię wszystko, by nie myśleć o osobach, wobec których czuję się winna, a już w szczególności nigdy tak mi bliskich. Zazwyczaj mi się to udaje.

Ale nie dziś.

Doskonale pamiętam historię naszej przyjaźni, nawet jeśli początkowo nie chciałam Andrzeja znać.

* * *

Marzec 2010

Dawno nie czułam się tak podekscytowana. Stoję niedaleko pokoju numer sto pięćdziesiąt jeden i intensywnie wpatruję się w prowadzące do niego drzwi. Pomimo że wokół kręci się kilkanaście osób w przeróżnym wieku, zapewne będących tak samo jak ja przyszłymi kursantami, nie podchodzę do żadnej z nich. Nie dlatego, że się obawiam – właściwie jestem całkiem dobra w nawiązywaniu znajomości. Po prostu odczuwam taką radość na myśl, iż lada chwila rozpocznę przygodę z profesjonalną fotografią, że chyba zaraz eksploduję.

Gdy Ula wspomniała mi o tych zajęciach po raz pierwszy, byłam sceptyczna. Wymigiwałam się od udziału w kursie, argumentując to dwoma kierunkami studiów, ale moja przyjaciółka szybko wytknęła mi

tchórzostwo. Owszem, boję się okazywać swoje emocje, a przede wszystkim wrażliwość, z którą kojarzy mi się profesjonalna fotografia. Z drugiej strony jest to przecież coś, co uwielbiam od dawna. Koniec końców zdecydowałam, że zapiszę się na kurs, tym bardziej że jako studentka mogłam skorzystać z promocji, a terminarz zajęć idealnie wpasowywał się w mój grafik.

Mija dziewiętnasta jeden, a ja coraz bardziej się niecierpliwię. Najwyraźniej nasz pierwszy nauczyciel nie należy do osób punktualnych. Nie lubię, jak ktoś się spóźnia, szczególnie ktoś, na czyjej obecności bardzo mi zależy.

– O, cześć, Oliwia! Tak coś czułem, że spotkam tu kogoś znajomego.

Odwracam się na dźwięk męskiego głosu, moim oczom ukazuje się niewiele ode mnie wyższy, przysadzisty blondyn ubrany w żółtą koszulkę i zielone spodnie. Z jego błękitnych oczu aż bije entuzjizm. Skądś go kojarzę, ale zupełnie nie mogę sobie przypomnieć skąd.

– Andrzej Szymański, pamiętasz? – podpowiada. – Chodziliśmy na hiszpański na pierwszym roku.

Jego słowa otwierają klapkę w moim umyśle. W duchu jęczę z niesmaczona. Oczywiście, że go pamiętam. Najgłośniejszy chłopak w grupie, rozśmieszał całe towarzystwo, w tym niewiele od nas starszą lektorkę, a jednocześnie podrywał wszystkie dziewczyny, włącznie ze mną. Nie odpowiadałam na zaczepki w żaden sposób. Na szczęście musiałam znosić go tylko przez pół roku – dostałam się na iberystykę i hiszpański przestał mi być potrzebny na kulturoznawstwie, żeby zdać rok.

Teraz też nie zamierzam reagować na jego infantylne zachowanie. Jak ja nienawidzę takich typków! Cudem powstrzymuję się przed przewróceniem oczami i odpowiadam najbardziej obojętnym tonem, na jaki mnie stać, z nadzieją, że moja niechęć ostudzi jego optymizm:

– Tak, pamiętam. To ty byłeś osobą, przez którą przerabialiśmy materiał dwa razy wolniej, niż założono w programie.

Widzę konsternację w jego oczach, ale zaraz odpowiada wesoło:

– Tak, to ja! Później nadgoniliśmy, ale ty odeszłaś po pierwszym semestrze. Dlaczego?

Od odpowiedzi ratuje mnie zdyszana nauczycielka, która wygląda jak zwariowana artystka. Nieuczesane, pofarbowane na czarno włosy włożą jej do oczu, a wielokolorowa płócienna torebka niemal zsuwa się z ramienia, kiedy w pośpiechu szuka kluczy.

– Bardzo państwa przepraszam... Te korki mnie kiedyś wykończą. Warszawa jest za duża! Ale już jestem. Kurde, gdzie jest ten klucz?! O, jest. To zapraszam do sali. Macie aparaty? Jak nie, to nie szkodzi, dzisiaj będzie teo... O, cholera! – Przerywa, bo torebka ląduje na ziemi, a jej zawartość się rozsypuje.

Andrzej rzuca się na pomoc i z dwiema innymi osobami zbiera rzeczy kobiety. Mój entuzjazm dotyczący zajęć słabnie z sekundy na sekundę. Mam nadzieję, że inni nauczyciele będą bardziej ogarnięci. Ale przynajmniej Andrzej dał mi spokój.

Po wejściu do sali bez wahania zajmuję jeden z ostatnich stolików, gdy widzę, że mój natrętny znajomy poszedł za nauczycielką. Już ją podrywa, skubany. Okazuje się jednak, że wcale nie zamierza usiąść z przodu – odwraca się i taksuje kursantów uważnym spojrzeniem, a ja ponownie jęczę w duchu. Chwilę potem blondyn, z ogromnym uśmiechem na ustach, siada obok mnie, a ja przyciskam się mocniej lewym bokiem do ściany, żeby jak najbardziej się od niego odsunąć.

– To co, powiesz mi dlaczego? – zagaja.

– Co dlaczego? – odpowiadam pytaniem na pytanie.

– Dlaczego zrezygnowałaś z hiszpańskiego?

– Nie twoja sprawa! – warczę, zastanawiając się, czemu, u licha, rok temu postanowiłam rzucić palenie. Jeśli będę zmuszona siedzieć z tym idiotą przez cały kurs, nie ma szans, żebym nie wróciła do nałogu.

Zabiję ją. Zabiję Ulkę. Tym razem nic jej nie uratuje.

6 Główna bohaterka powieści *Przeminęło z wiatrem* M. Mitchell.

Rozdział piąty

Czerwiec 2017

Wpatruję się intensywnie w swoje dłonie, ostatkiem sił powstrzymując się od wyrywania skórek. W liceum namiętnie obgryzałam paznokcie, na szczęście na studiach w końcu się tego oduczyłam. Od jakiegoś czasu przyłapuję się jednak na skubaniu nieszczęsnych skórek, szczególnie w stresujących sytuacjach.

Nigdy nie należałam do osób cierpliwych. Może dlatego, że całą swoją cierpliwość wykorzystywałam przy fotografowaniu. Z natury jestem impulsywna. Cóż, pewnych rzeczy trzeba się nauczyć, dojrzeć do nich, nawet jeśli jakaś część duszy chciałaby pozostać na zawsze dzieckiem.

Przecieram zmęczone oczy. Mam wrażenie, że minęła wieczność, odkąd kwadrans temu tu przybyłam, znacznie przed ustalonym czasem. Po raz kolejny obrzucam wzrokiem pomalowany na miętowo korytarz, przechodzący w obszerny hol, w którym prócz mnie siedzą jedna kobieta i trzy pary. Nikt się nie odzywa. Nic dziwnego, poczekalnia w klinice niepłodności nie jest miejscem, w którym chce się prowadzić niezobowiązujące rozmowy. Zobowiązujące tym bardziej.

Jedna z kobiet niespodziewanie spogląda wprost na mnie, a ja prędko odwracam wzrok i wbijam go w drzwi z numerem siedem – gabinetu, do którego czekam jako jedyna. Moje nieme błagania w końcu zostają

wysłuchane i z pomieszczenia wychodzi wyraźnie zadowolona para. Powód może być tylko jeden. Mimo że jeszcze przed chwilą mój żołądek zawiązany był w ciasny supeł, nagle czuję przypływ nadziei. Wstaję i cicho pukam do uchylonych drzwi. Pewnie nie powinnam pchać się do środka sama, ale nie potrafię dłużej siedzieć beczynn timer. Muszę, po prostu muszę już wiedzieć, za długo czekałam na ten dzień.

Na szczęście na obliczu doktora Fabiańskiego – zaczynającego siwieć blondyna o łagodnym spojrzeniu – nie widać choćby grama niechęci wobec mojego pośpiechu. Z uśmiechem wskazuje krzesło naprzeciwko dużego, dębowego biurka. Zajmujemy miejsca równocześnie, a ja trochę się uspokajam. Podczas dwóch pierwszych wizyt lekarz zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie, nie zmniejsza to jednak mojego zdenerwowania. Jestem pewna, że doktor Fabiański przekazuje zarówno dobre, jak i złe wieści ze spokojem i łagodnością, więc jego zachowanie nie pomoże mi odgadnąć, jakie informacje ma do przekazania mnie.

– Napije się pani czegoś, pani Oliwio?

– Poproszę wodę niegazowaną.

– Proszę bardzo. – Stawia przede mną pełną szklankę. – Woda w takie upały to zbawienie, nawet jeśli ma się klimatyzację.

– W klinice jest bardzo przyjemnie – potakuję, wyginając nerwowo palce, czego lekarz na szczęście nie widzi, ponieważ ręce ukrywam pod blatem. – Aż się boję wychodzić na dwór.

– Ja również, szczególnie że zepsuła mi się klimatyzacja w samochodzie. – Fabiański otwiera leżącą przed nim dokumentację, opatrzoną moim nazwiskiem, a następnie klika coś na komputerze. – Dobrze, pani Oliwio. Proszę powiedzieć: czy mąż do nas dołączy?

Przez moment milczę, zaskoczona, jednak szybko przypominam sobie własne, niby niewinne kłamstewko, które sprzedałam podczas ostatniej

wizyty: „Przyjdę z mężem; jest bardzo zajęty, ale postaramy się jakoś wpasować w godziny otwarcia kliniki”. Piotrek nie ma najmniejszego pojęcia, że tu jestem. Ani że kiedykolwiek byłam. A jeszcze gdyby się dowiedział, że mój lekarz to mężczyzna... Na samą myśl o tym aż się wzdrygam, co doktor interpretuje po swojemu, ponieważ pyta:

– Za zimno pani? Mogę przykręcić klimatyzację.

– Nie, jest w sam raz – zaprzeczam i upijam łyk wody, by zebrać myśli.

– Niestety Piotrkowi w ostatniej chwili przesunięto godzinę ważnego spotkania w kancelarii i nie mogłem przyjść – mówię bez zająknięcia, nie tracąc nawet na sekundę kontaktu wzrokowego z lekarzem. W kłamaniu stałam się niemal perfekcyjna, mimo że wciąż nienawidzę tego robić.

– Nic teraz na to nie poradzimy – wzdycha Fabiański i poprawia zsuwające się na nos okulary. – Niemniej wizyta pani męża w ośrodku jest niezbędna, jeśli chcemy ruszyć dalej. A teraz, gdy znam już wszystkie pani wyniki, szczególnie – dodaje, stukając palcem w dokumentację.

Zaczynam wiercić się na krześle, cudem powstrzymując się od zabrania mu sprzed nosa tych papierów.

– Najnowsze wyniki potwierdzają to, co mówiłem wcześniej. Niewielkie odchylenia w długości pani cyklu, które miały miejsce kilka lat temu, to nic poważnego. Wszystkie wyniki krwi, w tym stężenia hormonów, mieszczą się w granicach normy. Nieznaczna anemia mikrocytarna uległa normalizacji dzięki preparatowi żelaza, który pani przyjmowała. USG też jest w porządku. Nie ma potrzeby robić kolejnych badań.

– A ta... fery... fertyskopia? Przepraszam, jeśli przekręcam – mówię, czując, jak kotłuje się we mnie masa przeróżnych emocji. Powinnam się cieszyć, bo wszystko wskazuje na to, że jestem płodna, jednak nie potrafię.

Wiem, co to oznacza w praktyce, a takiej możliwości nie chcę nawet do siebie dopuszczać, choć już od dłuższego czasu to podejrzewam.

– Fertyloskopia. – Fabiański obrzuca mnie zatroskanym spojrzeniem. – Pani Oliwio, nie ma w pani przypadku wskazań do jej wykonania. To inwazyjne badanie, którego nie przeprowadzamy u wszystkich pacjentek. Tak jak mówiłem na pierwszej wizycie, równie często jak niepłodność kobieca występuje niepłodność męska albo mieszana. W pani przypadku wykluczyliśmy niemal całkowicie czynnik niepłodności kobiecej, teraz należy zbadać pani męża. Gdy będziemy znali przyczynę, będziemy mogli skupić się na dobraniu najlepszej terapii.

Słowa lekarza są profesjonalne i stanowcze, a on sam wypowiada je w ciepły, spokojny sposób. Być może dlatego jeszcze daję radę tu siedzieć. W spojrzeniu ginekologa dostrzegam troskę i wiem, że musi coś podejrzewać. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby się domyślić, ale to samo podejrzenie widziałam w jego oczach już na pierwszej wizycie, kiedy nic o mnie nie wiedział. Owszem, mógłby się dowiedzieć od Gośki, która mi go poleciła, ale zdaję sobie sprawę, że tak się nie stało. Jako lekarka z powołania i – pomimo wszelkich różnic między nami – dobra siostra wie doskonale, czym jest dyskrecja. Z drugiej strony czego nie wie ode mnie doktor? Czy to grzech, że nie powiedziałam własnemu mężowi, że tu przyszłam? Czy sprawiedliwe jest podejrzewać, że to w Piotрку musi tkwić problem?

„Tyle że to nie jest podejrzewanie. Teraz to niemal pewne”, podpowiada złośliwy głosik, a ja zaciskam pięści tak, że paznokcie boleśnie wbijają mi się w dłonie.

– Czyli teraz to mój mąż musi przyjść na diagnostykę? – pytam ze wzrokiem wbitym w ścianę. Wolę unikać spojrzenia lekarza.

– Tak. Najlepiej byłoby, gdyby stawili się państwo razem, ale jeśli to niemożliwe, niech mąż przyjdzie sam. Proszę, oto wyniki wszystkich badań, na które czekaliśmy. – Fabiański podaje mi teczkę, którą od razu chowam do torebki. – W naszej klinice podchodzimy do problemu niepłodności kompleksowo. Mamy możliwość konsultacji psychologicznej zarówno indywidualnie, jak i dla par.

– Wiem, panie doktorze. Na razie nie jest to jednak potrzebne. Czy moglibyśmy przejść do badania?

Lekarz po raz pierwszy podczas rozmowy patrzy na mnie z czymś na kształt nagany, jednak nic nie mówi, tylko zaprasza na fotel ginekologiczny.

Kilkanaście minut później z kolejnym potwierdzeniem, że zarówno w badaniu, jak i USG przezpochwowym wszystko jest w porządku, z ciężko bijącym sercem opuszczam klinikę. Jestem tak spocona, że duchota panująca w centrum Warszawy nie robi na mnie wrażenia, podobnie jak wyjątkowo zanieczyszczone dzisiaj powietrze. Jako dziecko byłam alergiczką i astmatyczką i jestem wyczulona na smog. Wiedza o własnej chorobie była jednym z powodów, dla których na początku studiów rzuciłam palenie. Dlaczego w ogóle zaczęłam palić w drugiej klasie liceum, wolę nie wspominać. Głupota wieku młodzieńczego, ot co.

Chwilę później skręcam w Szpitalną. Piotrek faktycznie ma teraz spotkanie w pracy i do mnie nie zadzwoni, czuję się więc względnie bezpieczna. Mój mąż jest święcie przekonany, że siedzę grzecznie w domu.

Już dawno umówiłam się z Goską, że zrobię zdjęcia wszystkich wyników i prześlę jej mailem, aby sama mogła je ocenić. Z początku się opierała, twierdząc, że Fabiański jest jednym z najlepszych specjalistów od niepłodności w Polsce i ona sama nie osiągnie nigdy takiego poziomu, szczególnie że zamierza specjalizować się w ginekologii endokrynologicznej. Udało mi się ją jednak przekonać do swoich racji,

pomimo świadomości, dlaczego moje zachowanie można uznać za irracjonalne. Tyle że jeśli chodzi o chęć posiadania dziecka, z pojęciem „racjonalność” pożegnałam się dawno temu. Marzyłam o potomku już wtedy, kiedy wmawiałam każdemu, w tym sobie, że nie mam zamiaru z nikim się wiązać. Zawsze lubiłam dzieci i miałam wysoko rozwinięty instynkt macierzyński.

Wchodzę do klimatyzowanego wnętrza wedłowskiej kawiarni i z ulgą zajmuję stolik z dala od wejścia. Większość zgromadzonych to turyści; nic dziwnego, sama polecam każdemu znajomemu z zagranicy to miejsce.

Zamawiam mrożoną czekoladę z wiśniami i wysyłam siostrze zdjęcia całej dokumentacji medycznej. Przy wszystkich wynikach badań laboratoryjnych podano zakresy; nie trzeba być specjalistą, by dostrzec, że wszystko mieści się w normie. Gdy kelner stawia na stole czekoladę, dzwoni mój telefon. Na szczęście sąsiedni stolik zajmuje grupka osób głośno rozmawiających po włosku, więc nie obawiam się, że mnie podsłuchają.

– Cześć, Oliwia – wita mnie zdyszana Gosia. – Przejrzałam twoje wyniki. Są perfekcyjne. Sama bym chciała takie mieć.

– Wiem. Doktor nie chce już pogłębiać u mnie diagnostyki.

– I dobrze. Teraz pora na Piotrka. Albo inaczej, na niego pora jest już od dawna, a teraz to bez dwóch zdań. Rozmawiałaś z nim?

– Nie – odpowiadam szczerze i ku mojemu zdziwieniu jest mi trochę lżej.

Właściwie nigdy nie mówię źle o Piotrku ani o naszych problemach, więc to dla mnie nowość i nie spodziewałam się, że poczuję ulgę. Jakiś czas temu, uzyskawszy obietnicę dyskrecji, zdradziłam Goście, że nie mogę zająć w ciążę. Zanim niechciane łzy zaczną mi spływać po policzkach, upijam kolejny łyk czekolady i powracam do rozmowy.

– Nie mam pojęcia, jak mu powiedzieć, że musi się przebadać. – Tym razem nie wyjawiam całej prawdy, to bowiem tylko część problemu. Ale o tym nie wie już nikt, nawet Gośka.

– Oli, ja wiem, to bardzo delikatna kwestia, szczególnie dla mężczyzn.
– Wyczuwam w jej głosie nutkę współczucia, co sprawia, że ciśnienie mi się podnosi. – Ale inaczej będziecie stać w miejscu. Im szybciej Piotrek pójdzie się zdiagnozować, tym szybciej będziecie wiedzieć, co dalej. Kochanie, naprawdę nie sądzę, żeby sprawa była przegrana, tylko najpierw trzeba wiedzieć dokładnie, co jest nie tak. Obecnie jest dużo skutecznych metod zajścia w ciążę...

– Wiem, Gośka – przerywam. – I wiem, że *in vitro* nie jest jedyną, już mi mówiłaś, a ja dużo o tym czytałam. Ale to nie jest główny problem! – wykrzykuję, nim zdążę ugryźć się w język.

– To co nim jest, Oliwio? – pyta szorstko, co znacznie bardziej przypomina mi jej standardowy ton. – Nazwij to w końcu.

– Nie wmawiaj mi czegoś, o czym... Czego nie ma! – Zaciskam ręce w pięści. Och, jakże ona potrafi mnie wkurzyć! – Ciebie nawet tutaj nie ma, więc co daje ci prawo do oceny?

– Na studiach też mnie nie było, podobnie jak Pawła, a jakoś rozmawiałaś ze mną częściej niż teraz – zauważa Gośka, a ja mam wrażenie, że każde jej słowo wbija się we mnie niczym wyjątkowo ostra szpilka. – Potrafiłaś wtedy przegadać z Pawłem pół nocy, myślisz, że nie wiem? A teraz traktujesz go gorzej niż ojca, w ogóle z nim nie rozmawiasz!

– Jak śmiesz porównywać Pawła do ojca, którego przecież ty sama ubóstwiasz, *by the way*. Cholerna córeczka tatusia! – Podnoszę głos tak bardzo, że Włosi patrzą na mnie zaskoczeni. – A moja relacja z nimi to wyłącznie moja sprawa. Podobnie zresztą jak z moim mężem.

– To po co o nim rozmawiamy? – pyta równie rozeźlona Gośka, a w tle słyszę, jak coś spada z hukiem. – Świetnie, przez ciebie wywaliłam kubek z herbatą.

– Taa, jasne, przeze mnie!

– Oliwia, nie będę się z tobą kłócić, to nie ma sensu. Mogę cię odwiedzić – proponuje po chwili milczenia, a jej słowa wbijają mnie w krzesło.

Owszem, Gośce zdarzało się spotykać ze mną, kiedy przyjeżdżała do Warszawy, ale to zawsze było przy okazji czegoś. Jak wytłumaczę to Piotrkowi?

– Słucham?

– Widzę, że masz problem, a najwyraźniej wiem o nim najwięcej ze wszystkich członków naszej rodziny. To trwa za długo, bym mogła to ignorować. I na pewno nie chodzi tylko o dziecko. Wiem, że przez telefon nic mi nie powiesz. Pasuje ci sobota za tydzień? Przyjadę z Zosią i Maćkiem, dzieciaki stęskniły się za cicią, więc nie próbuj się wymigiwać!

– Dam ci znać – odpowiadam automatycznie. Ledwo mogę zrozumieć, a co dopiero przyswoić to, co słyszę, więc rzucam: – Muszę kończyć.

Rozłączam się szybko, by nie miała szansy odpowiedzieć. W ucieczkach stałam się niemal tak dobra jak w kłamstwach, choć równie mocno nimi gardzę. Właściwie tylko jednej z moich zasad wciąż się trzymam. Nie zdradzam.

Głęboko wciągam powietrze. Wiem, że nie mogę pozwolić Gośce, żeby do mnie przyjechała, nawet z ukochanymi siostrzeńcami. Wtedy mogłabym pęknąć, z czego nic dobrego dla nikogo nie wyniknie. Nie bez powodu ograniczam kontakty zarówno z nią, jak i z Pawłem. Chowam głowę w ramiona, próbuję pozbyć się wszelkich myśli. Nie jest to jednak łatwe.

Jak bumerang wraca wspomnienie jedyne raz, kiedy Piotrek przy mnie przeklął.

* * *

Sierpień 2016

Siedzimy na balkonie, korzystając z tego, że jest zacieniony co najmniej do pierwszej po południu. Piotrek ma zadziwiająco dobry humor, na który od pewnego czasu niecierpliwie czekałam. Już prawie godzinę czyta gazetę, lecz ja nie mogę skupić się na lekturze książki, która wcześniej naprawdę mnie wciągnęła. Jakiś kwadrans temu podjęłam decyzję, by poruszyć z nim pewien temat, ale wciąż nie mogę znaleźć odpowiednich słów. Chyba muszę pójść na żywioł. Zamykam książkę i pytam:

– Wiesz, że jest różnica między niepłodnością a bezpłodnością?

Piotrek odkłada na stół „Gazetę Wyborczą” i wbija we mnie wzrok. Nic nie mówi – nie lubi przyznawać się, że czegoś nie wie – więc tłumaczę:

– Niepłodność jest wtedy, kiedy po roku celowych i regularnych starań o dziecko kobieta nie zachodzi w ciążę. Niepłodność się diagnozuje i leczy. A jeśli okazuje się, że ktoś jest niezdolny do spłodzenia potomstwa, to mowa o bezpłodności. Nie można jej niestety leczyć.

– Aha, czyli co, Oliwio, ubzdurałaś sobie, że skoro rok temu odstawiłaś tabletki, a my nadal nie mamy dziecka, to musi chodzić o niepłodność? – Spokojny, niemal flegmatyczny ton Piotrka sprawia, że się spinam.

– Nie, oczywiście, że nie – zaprzeczam. – Po prostu o tym ostatnio czytałam. Bardzo ciekawy artykuł. Podobno coraz więcej par ma ten problem, ale dzięki diagnostyce i różnym metodom ginekolożki są w stanie pomóc znacznie większej liczbie osób niż kiedyś. I wcale niekoniecznie przez *in vitro*, jest naprawdę dużo metod, począwszy od hormonoterapii...

– Dość, Oliwio – przerywa tonem ostrym niczym brzytwa. – Chcesz mi wmówić, że przeczytałaś taki artykuł zupełnie przypadkiem? Masz mnie za głupca?

– Oczywiście, że nie – powtarzam drżącym głosem. Zaciskam dłonie na rancie krzesła i przeklinam własną głupotę. Po co poruszyłam ten temat?!

– Chyba jednak masz. Nie interesują mnie metody zapłodnienia, ponieważ w naszym związku nie ma takiego problemu. Jeśli chcesz, możemy iść do łóżka nawet teraz.

– Nie... To znaczy, tak, możemy, ale...

– Ale co? – pyta Piotrek, wciąż spokojnie. On niemal nigdy nie krzyczy, nie traci panowania nad sobą. Jest prawnikiem idealnym. Potrafi niszczyć swoich przeciwników szeptem.

– Po prostu czytałam...

– Do środka. Już! – Podnosi się szybko, a ja idę za nim do salonu bez słowa sprzeciwu. – Powiedz mi, kochanie, dlaczego poruszasz takie tematy na balkonie, gdzie każdy może nas usłyszeć – mówi znów spokojnie, odwracając się, a następnie kładzie delikatnie ręce na moich ramionach. Wpatruje się we mnie tak intensywnie, że aż przełykam ślinę.

Wiem, że jeśli odwrócę wzrok pierwsza, tylko bardziej go zdenerwuję, więc staram się tego nie zrobić. Nadal patrząc mu w oczy, szepczę:

– Nikogo nie było.

– Nie pyskuj, idiotko – odpowiada wciąż opanowanym tonem.

Czuję się jak ścierwo. Gorzej, niż gdybym dostała w twarz. Co nigdy się nie stało, więc pewnie nie powinnam tak porównywać. Piotrek nigdy mnie nie uderzył. Brzydzi się przemocą równie mocno jak zdradą. Chyba dlatego tak łatwo i tak bardzo swego czasu go pokochałam.

– Jesteś ze mną nieszczęśliwa? – cedzi przez zaciśnięte zęby. – Nie pasuje ci nasze życie seksualne? Jest ci źle tylko ze mną?

– Oczywiście, że nie. Kocham cię, jesteśmy małżeństwem, to z tobą chcę mieć dzieci.

– Pytam raz jeszcze, czy jest ci ze mną źle. – W jego oczach widzę niebezpieczne iskry.

– Nie! – piszczę.

– Więc po co ci bachor?!

– Też go chciałeś – zauważam, zanim mój mózg zdoła powstrzymać usta od wypowiedzenia tych słów.

– Chciałem? – Śmieje się lodowato. – Kochanie, wiesz, ile mam lat? Wiesz, ile ty masz lat? Taką matematykę chyba przyswoiłaś. Mamy całą wieczność, żeby mieć dziecko. Mnie jest z tobą dobrze. Nie potrzebuję dodatkowych atrakcji, szczególnie tak wątpliwej jakości.

– A co z naszymi marzeniami o dwójce dzieci? – Brnę dalej, ignorując rozsądek. – Przed ślubem...

– Najpierw chrzaniłaś o kocie. Potem, że musisz pracować. A teraz o dzieciach. Oliwio, co z tobą jest nie tak, do kurwy nędzy?! – Piotr zaciska mocniej ręce na moich ramionach, nadal jednak nie jest to bolesne. Dobrze wie, że i tak nigdzie nie pójde, chyba że na jego polecenie.

Czasami siebie za to nienawidzę.

Tym razem jestem zbyt zaskoczona, żeby się dłużej samobiczować, ponieważ Piotrek nigdy wcześniej przy mnie nie przeklął. Nie wiem, co to oznacza. O ile to możliwe, spinam się jeszcze mocniej. Jego następne słowa zaskakują mnie jeszcze bardziej:

– Wychodzę. Jak wrócę, ma cię tu nie być. Przemyśl swoje zachowanie.

I faktycznie wychodzi, tak jak stoi, zabrawszy ze sobą jedynie klucze, portfel i telefon. To do niego niepodobne, żeby nie przebrać się w coś innego, nawet jeśli miał na sobie całkiem nowy T-shirt i krótkie, sportowe

szorty. Piotrek uważa, że ubranie po domu oraz ubranie na zewnątrz, choćby do śmietnika, to muszą być dwa oddzielne stroje.

Naprawdę wyprowadziłam go z równowagi.

Przez kilka minut stoję nieruchomo. Gdy moje tętno nareszcie się normuje, uznaję, że potrzebuję zrobić coś dla siebie. Wątpię jednak, żebym w takim stanie dała radę fotografować, choć to sprawia mi największą przyjemność.

Zaskakuję sama siebie, bo postanawiam pobiegać. Nie lubię biegać, a na pewno nie na długie dystanse. Próbowалам się przemóc na pierwszym roku studiów, lecz prędko zrezygnowалам. Zazwyczaj chcę mieć konkretny cel, poza tym szybko łapię zadyszkę. Teraz jednak czuję w sobie tyle negatywnych emocji, że być może wypocenie ich w aktywności fizycznej, za którą nie przepadam, okaże się dobrym rozwiązaniem.

Zabieram jedynie klucze i butelkę wody. Ryzykuję, bo Piotrek może do mnie zadzwonić i z pewnością zdenerwuje się, jeśli nie odbiorę, ale mało mnie to obchodzi. Przed bramą wjazdową na osiedle staję. Po chwili wahania postanawiam pójść, a raczej pobiec, do parku Skaryszewskiego.

Temperatura na zewnątrz okazuje się do wytrzymania, a jednostajne tempo uspokaja umysł i serce. Gdy po dobrych paru minutach biegu zatrzymuję się przy przejściu dla pieszych, uświadamiam sobie ze zdziwieniem, że nie czuję się aż tak zmęczona, jak się spodziewалам, a niechciane myśli nie dręczą już tak mocno.

Po kolejnym kwadransie dochodzę do wniosku, że choć to nigdy nie będzie mój ulubiony sport, bieganie ma swoje plusy. Z każdym pokonanym metrem mam wrażenie, jakbym pozbywała się niewidzialnego ciężaru. Lekki wiatr uderza mnie w twarz, kosmyki z wysoko upiętego kucyka wysmykują się, opadają na czoło i oczy, ale nie przeszkadza mi to. Całą

sobą czuję otaczającą naturę, szczególnie na terenie parku. To niesamowicie oczyszczające uczucie.

– O kurde! – piszczę, gdy zza zakrętu wyłania się jakiś facet, na oko w moim wieku, z pewnością bardziej zaprawiony w bieganiu niż ja.

Nie udaje mi się wyhamować i wpadam na niego z impetem, objając się boleśnie o umięśnioną klatkę piersiową. Wypadkowi towarzyszy głośne, na szczęście nieagresywne szczekanie czarnego, niewielkiego psa w czerwonej obroży.

– Zamyśliłem się, przepraszam – mówi mężczyzna i łapie mnie za ramię, pomagając utrzymać równowagę. Jego dotyk aż pali.

– Nie ma problemu, też nie uważałam. – Instynktownie robię krok w tył i obrzucam go uważnym spojrzeniem.

Obiektywnie jest przystojny – dość wysoki, dobrze zbudowany niebieskooki blondyn, ubrany w krótkie niebieskie szorty i podkoszulek w takim samym kolorze. Jeśli jego klatka piersiowa jest tak samo dobrze umięśniona jak kończyny...

Rugam w myślach samą siebie. O czym ja w ogóle myślę?! Zresztą subiektywnie to w ogóle nie mój typ. Wolę brunetów.

– Nie uderzyłaś się za mocno? – pyta, a ja zaprzeczam stanowczym ruchem głowy.

– Nic się nie stało. Wiesz co, przepraszam, ale muszę już iść. Pa! – wołam spanikowana, omijając go spojrzeniem. Jego pies wpatruje się we mnie z przechylnym ciekawsko łbem. Oddalam się najszybciej, jak potrafię, nie biegnąc.

Mężczyzna nie woła za mną. Z jakiegoś irracjonalnego powodu czuję się tym zawiedziona.

Rozdział szósty

Lipiec 2017

Kończę składać czystą, suchą bieliznę i siadam zziębnięta na kanapie w salonie. Mimo że w mieszkaniu jest chłodniej niż na dworze, gorąco mnie dobija. Piotrek nienawidzi klimatyzacji; twierdzi, że go zawiewa, poza tym sam bardzo dobrze znosi wysokie temperatury. Nie pozwala nawet na kupienie wiatraka, co doprowadza mnie do szału.

Rozglądam się po salonie i kuchni, zastanawiając się gorączkowo, czy jest jeszcze coś, co mogłabym zrobić. W ciągu ostatnich dni znalazłam sobie wyjątkowo dużo zajęć w domu: posortowałam ubrania, buty i biżuterię, przejrzałam rzeczy, które przez kilka lat zachomikowaliśmy w piwnicy. Wszystko, byle tylko mieć jak najmniej czasu na rozmyślenia i usprawiedliwić sama przed sobą zwłokę w konfrontacji z Piotrkim, dotyczącej potomstwa i moich wyników.

Wciąż mu nie powiedziałam. Co gorsza, zbliża się weekend i wizyta mojej siostry. Jestem niemal pewna, że Gośka poruszy przy Piotrku ten temat, dla mojego – jak twierdzi – dobra, a to byłoby zdecydowanie najmniej korzystne rozwiązanie.

Biorę telefon i zaczynam przeglądać Facebooka i Instagrama. Niestety nie pozwalają mi odmóżyć się na dłużej niż kilka minut.

Rozeźlona klikam w zieloną słuchawkę. Prócz połączeń do lub od Piotrka widzę kilka od mojej mamy, które przez ostatnie dni skutecznie ignorowałam. Nie lubię z nią rozmawiać – szczególnie przez telefon – ponieważ nasza konwersacja zawsze sprowadza się do jednego. Niby powinnam być zadowolona, że uwielbia Piotrka, ale nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak bardzo nie lubi Petrosa, męża Goški, ani Sylwii, dziewczyny Pawła. Co prawda ja też nie byłam jej fanką na początku ich znajomości, ale tamte czasy dawno minęły. Właśnie dlatego zazwyczaj niechętnie oddzwaniam do mamy, mimo że bardzo ją Kocham i wiem, że chce dla nas jak najlepiej.

Teraz jednak przychodzi mi do głowy, że mogę wykorzystać jej podejście do pewnych spraw i coś na tym ugrać. Zanim wyrzuty sumienia czy kolejne wątpliwości dopadną mnie i spowodują zmianę zdania, podnoszę się z kanapy i przechodzę do sypialni, w której najlepiej rozmawia mi się przez telefon. Być może dlatego, że tutaj Piotrek pozwolił mi wprowadzić najwięcej własnych akcentów. Przynajmniej po, jak mówi, mojej stronie, czyli na prawo od wielkiego łóżka z baldachimem, zajmującego większość pokoju.

Na mojej szafce nocnej stoi fikuśna lampka w stylu secesyjnym i kilka figurek – pamiątek z podróży, w tym miniaturowa wersja barcelońskiego parku Güell. Gaudi to moim zdaniem najlepszy architekt wszech czasów, toczę o to nieustającą wojnę z Ulką. Część sypialni po stronie Piotrka jest z kolei niemal sterylna i pozbawiona innych kolorów niż biały, brązowy i ciemnoszary. Na jego szafce nocnej prócz ciemnej lampki leży tylko jedna z prawniczych cegieł.

Rzucam się na łóżko, przesuwam bordowy jasiek – prezent od Andrzeja, o czym Piotrek nie ma pojęcia – i wybieram numer do mamy.

– Wreszcie oddzwaniaasz, kochanie. Poczekaj chwileczkę, przełożę leki i już wracam. – W słuchawce wybrzmiewają jakieś dziwne trzaski. Pewnie jest w pracy.

– Nie przeszkadzam? – pytam dla zasady, ponieważ dobrze znam odpowiedź.

– Oczywiście, że nie. – W jej głosie słyszę autentyczne oburzenie. – Rozkładanie leków po szafkach może poczekać, szczególnie że trzeba to w końcu zrobić porządnie. Dziewczyny kładą jak popadnie i muszę wszystko poprawiać. W każdym razie pacjenci swoje leki do obiadu dostali, a to najważniejsze.

– Nie przepracowujesz się? Chyba bierzesz za dużo zmian, mamuś. – Wiem, że wchodzę na grząski grunt, ale martwię się o mamę, która lada chwila osiągnie wiek emerytalny.

Jako pielęgniarka przepracowała prawie trzydzieści lat. To w szpitalu poznała mojego ojca, jednego z najlepszych chirurgów ogólnych w województwie wielkopolskim.

– Kochanie, jak mam nie brać dyżurów, skoro mamy tak ogromne braki kadrowe?! Dyrekcja nie chce podnieść stawek, ale niedługo chyba nie będzie mieć wyboru, jak się zwolnią kolejne pielęgniarki. Mariolka od dawna mówi, że pójdzie stąd w cholerę, a ostatnio i Gabryśka się zastanawia. Ja nie, bo lubię ten szpital, ale pieniądze są po prostu nędzne. Nędzne. Ciesz się, kochanie, że twój mąż tyle zarabia, że sama pracować ani martwić się o takie rzeczy nie musisz. Piotrek to taki zaradny facet, no i dobrze wychowany, prawdziwy dżentelmen. Teraz już się takich nie spotyka. Trafiałaś świetnie, najlepiej z twojego rodzeństwa.

Aby nie westchnąć prosto do słuchawki, zaciskam mocno lewą rękę w pięść i przekręcam się na plecy. Tylko moja matka potrafi tak zwinnie

przejść z jednego tematu do drugiego – tego, który porusza w naszych rozmowach zawsze, niezależnie od mojego nastawienia.

– Jak Mariolka i Gabryśka odejdą, to już będzie kompletna porażka! – zauważam, bo chcę, by wróciła na poprzednie tory.

– No będzie, będzie. Ale co się przejmować na zapas. Ja jeszcze aż tak stara nie jestem, trzy zmiany w tygodniu mogę wziąć. Co nie zmienia faktu, że jak nie trzeba, to lepiej nie brać. Dlatego nigdy nie zrozumieję, dlaczego tak się upierasz, żeby pracować w tym studiu fotograficznym! Rozumiem, że kochasz fotografować, ale świat mody jest taki zepsuty. A Piotrek spokojnie cię utrzyma. Ty powinnaś zająć się domem. A właśnie, jak już przy tym jesteśmy, to co z dzidziusem? Matka coraz starsza, chciałaby wnuka albo wnuczkę.

– Masz już dwójkę, mamuś – przypominam zgorzkniałym tonem, mimo że wiem, co usłyszę. Mogłabym pisać scenariusze tych rozmów, serio.

– No, mam, mam, i to wspaniałe dzieci, tylko ten ich ojciec... Może Małgorzatka ma rację, że restauracja Petrosa ma się całkiem dobrze, a i menu najgorsze nie jest, ale żeby taka szanowana lekarka, jedna z najlepszych studentek na roku, już niedługo specjalistka z ginekologii, miała męża kucharza? Kto by pomyślał! Mówię ci, Oliwio, gdyby moja babka, świętej pamięci Stanisława Marymoncka z domu Potocka, o tym wiedziała, dostałaby zawału.

Przewracam oczami, dziękując losowi, że matka nie może tego zobaczyć. Brakuje tylko, by nawiązała do Sylwii i Pawła! Mam nadzieję, że moja mała intryga zadziała, bo jak nie, to szarpanie sobie nerwów tą rozmową nie będzie jej warte.

Zebrawszy całe pokłady cierpliwości, nie przerywam, gdy mama kontynuuje:

– A Pawełek? To samo! Co prawda ta Sylwia jest wykształcona, ale środowisko, z którego pochodzi, pozostawia wiele do życzenia. Oczywiście to okropne, że stała się sierotą w tak młodym wieku. Co gorsza, dom dziecka i to nieustanne przenoszenie z jednej rodziny zastępczej do drugiej pozostawiają piętno do końca życia. Takiej osobie trudno będzie wychować własne dziecko, skoro sama nie miała żadnych dobrych wzorców. A Piotrek i ty bylibyście wspaniałymi rodzicami.

„Gdybyś wiedziała więcej o jego rodzicach, tobyś tak nie mówiła”, myślę, ale nie dzielę się tym spostrzeżeniem z mamą. Jest jedyną osobą w najbliższej rodzinie, która od samego początku lubi mojego męża. Cieszę się, że przynajmniej ona staje po mojej stronie w dyskusjach z Gosią i Pawłem.

Mama nadal prowadzi monolog, wracając do zachwyków nad Piotrkim i tego, jak wspaniałym byłby ojcem. Mimo że jej prośby, a wręcz błagania o to, bym zaszła w ciążę, są najgorszym elementem każdej dłuższej rozmowy telefonicznej, tym razem wtrącam się w przemowę z największym entuzjazmem, jaki mogę z siebie wykrzesać.

– No właśnie, mamuś, sama wiesz, jak bardzo chcemy mieć dzieci, ale stres i środowisko, w którym przebywamy na co dzień, nie ułatwiają tych spraw. Dlatego planuję weekendowy wypad za miasto. Miał być za trzy tygodnie, ale okazuje się, że Piotrek nie będzie mógł. A w ten weekend pewnie mogłoby to wypalić. – Kłamię jak najęta i nawet się nie zacinam, co trochę mnie przeraża. Zmieniam ton na zboląły i dodaję: – Tylko jest problem, bo Gośka chce przyjechać. Zapowiedziała się jakiś czas temu, że mnie odwiedzi z dziećmi. Jak do niej zadzwonię, pomyśli, że znów każę jej spadać na bambus, a nie chcę, żeby to wyglądało w ten sposób. No i pomyślałam, że może ty byś jej powiedziała, żeby na razie nie przyjeżdżała...

– Oczywiście, Oliwciu! – krzyczy mama z takim entuzjazmem, że muszę odsunąć telefon od ucha. Jej radość powoduje, że w żołądku aż mnie ściska. – To świetny pomysł. Pamiętam, że jak chciałam zajść z twoim ojcem w drugą ciążę, też początkowo się nie udawało, a później pojechaliśmy nad morze i sama zobacz, dziewięć miesięcy później było nie jedno, ale dwoje dzieci!

Trajkocze coś dalej, ale ja nie jestem w stanie się skupić. Osiągnęłam, co chciałam; wiem, że matka tak porozmawia z Goską, iż ta na pewno mnie nie odwiedzi. Rozwiązałam problem, dlaczego więc czuję się jeszcze gorzej? Rozłączam się najszybciej, jak mogę, i wycieram z kącików oczu łzy.

Mój wzrok pada na szafkę nocną, gdzie obok ukochanej lampki leży podręcznik do hiszpańskiego na poziomie B2, co przypomina mi, że wieczorem, kiedy Piotrek pójdzie na ściankę, czeka na mnie kolejne kłamstwo o imieniu Klaudia.

Najwyraźniej oszustwo stało się tak integralną częścią mojego życia, że ledwo zauważam, gdy to ja je tworzę. A przecież obok zdrajców najbardziej nienawidzę krętaczy.

Może dlatego czasem tak bardzo nie lubię samej siebie.

* * *

Styczeń 2017

– Wychodzę, Oliwio, będę za dwie i pół godziny! – woła z przedpokoju Piotrek, a po chwili słyszę odgłos zamykanych drzwi.

Odczekuję dziesięć minut, a następnie przechodzę z laptopem do jadalni, gdzie przygotowuję stanowisko pracy. Obok komputera pojawiają się kolejno duży zeszyt, podręcznik i ćwiczenia do hiszpańskiego oraz kubek gorącej herbaty z imbirem i cynamonem. Mimo że w całym

mieszkaniu rozkręciłam kaloryfery na piątkę, a na stopach mam grube zielone skarpety w mikołaje, nie mogę odmówić sobie tej przyjemności. Jestem wiecznym zmarzluchem, nawet jeśli tegoroczny styczeń nie jest w połowie tak zimny, jak te sprzed dziesięciu lat. Mróz i śnieg toleruję jedynie w górach albo w Boże Narodzenie. Zdecydowanie wolę lato, nawet gdy oznacza to pot i wieczne pragnienie.

Do lekcji z Klaudią zostało kilka minut, podczas których układałam sobie zagadnienia do powtórki z nastolatką. Dziewczyna tak bardzo lubi hiszpański, że zamierza zdawać go na maturze zamiast angielskiego. Za czasów studenckich miałam więcej uczniów. Zdarzało się, że uczyłam jednocześnie siedem osób na czterech różnych poziomach, niektóre dwa razy w tygodniu. Początkowo dawałam korepetycje „na żywo”, a potem przerzuciłam się na zajęcia prowadzone przez Skype’a – zabierały mniej czasu, a mogłam mieć więcej uczniów.

Co prawda część moich bliskich, na przykład mama, nie rozumiała, dlaczego zamiast skupić się na studiach i kursie fotografii, postanowiłam jeszcze dawać korki z hiszpańskiego. A ja po prostu chciałam móc sama sobie powiedzieć, że mam i własne pieniądze, a nie, że dostaję je w całości od ojca. Poza tym uwielbiam wszystko, co wiąże się z Hiszpanią, w tym język. Kiedy udało mi się dostać pracę w „National Geographic”, musiałam ograniczyć liczbę uczniów do trzech, a mimo to ledwo się ze wszystkim wyrabiałam. Szkoda, bo czerpałam z nauczania wielką satysfakcję, prawie taką jak z fotografowania.

A później poznałam Piotra, który całkowicie zmienił mój świat i moje priorytety. Nie był i nadal nie jest zwolennikiem tego, bym pracowała, a już na pewno nie udzielając korepetycji z języka, którego, tak samo jak innych z grupy romańskich, nienawidzi. Uważa, że sensowna jest jedynie nauka angielskiego albo niemieckiego.

Skończyło się na tym, że przestałam pracować i w redakcji, i jako korepetytorka. Została mi tylko Klaudia, o czym nikt nie wie. Uczę ją nieprzerwanie od pięciu lat. Przeszliśmy razem wszystkie etapy jej młodzieńczego buntu i od dawna jest dla mnie kimś więcej niż zwykłą uczennicą z drugiego końca Polski, jakby młodszą siostrą, mimo że nigdy się nie widziałyśmy. Dlatego do dziś udzielam jej korepetycji, choć tylko raz w tygodniu, kiedy Piotrek chodzi na ściankę wspinaczkową. Dlatego założyłam konto w banku, o którym mąż nie ma najmniejszego pojęcia. Dlatego ryzykuję, budując kolejny fragment mojego życia na kłamstwie. Za bardzo przywiązałam się do Klaudivy.

Kilka minut później słyszę charakterystyczną melodyjkę, a po kliknięciu przycisku na ekranie pojawia się szatynka o szarych oczach, okrągłej twarzy i nie tak idealnej cerze, jakiej by pragnęła.

– Cześć, Oliwia! – woła standardowo, intonując z hiszpańskim akcentem moje imię. W przeciwieństwie do mnie uwielbia je. Mnie kojarzy się ono jedynie z owocami, które może i lubię jeść, ale mimo wszystko nie jest to najlepsze porównanie.

– Cześć, Klaudia. Jak minął tydzień? – pytam z szerokim uśmiechem. Rozmowy z nastolatką, a następnie godzinna lekcja zawsze mnie rozluźniają. Pozwalają na chwilę oderwać się od rzeczywistości, niczym dobry serial czy książka.

– Spoko! Nawet bardzo. Nie dość, że dostałam trójkę z matmy chyba po raz pierwszy od czasów podstawówki w pierwszym terminie i ojciec nie mógł się przyjebać, to za tydzień w końcu mamy studniówkę.

– I to cię tak cieszy? – pytam zdziwiona.

Doskonale pamiętam, jak przez ostatnie miesiące Klaudia psioczyła na samą ideę tej tradycji. Potem, po świętach Bożego Narodzenia, w ogóle przestała o tym mówić. Początkowo wydało mi się to podejrzane, ale

pomyślałam, że może ma już dosyć rozmyślań, a co dopiero rozmów. Nie poruszałam więc tematu, wiedząc, że jeśli będzie chciała, sama go zacznie.

– Och, wiem, co mówiłam w zeszłym roku. – Klaudia macha nonszalancko ręką. – Ale teraz myślę, że miałaś rację, mówiąc, że wszystko zależy od punktu widzenia. Wtedy nie miałam chłopaka, a nie chciałam iść z byle kim. No i nie podobała mi się wizja jakiejś sztywnej imprezy, na której nie można normalnie napić się alkoholu. Ale teraz, odkąd kręcę z Adamem, jest inaczej. Może jeszcze nie jesteśmy razem, ale to niedługo na pewno się zmieni!

– Poczekaj... Że co? – Otwieram usta tak szeroko, że zaraz chyba będę musiała zbierać szczękę z podłogi, a jednocześnie poprawiam ekran komputera i słuchawki. Może źle coś usłyszałam? Skype potrafi zaskakiwać.

– No nic takiego – odpowiada Klaudia neutralnym tonem, jakby mówiła o pogodzie. – To chyba logiczne, że idę na studniówkę z chłopakiem, któremu się podobam i który podoba się mnie, co nie?

– Cholewka, nie ze mną takie numery – ostrzegam, bo wiem, że używając zniechęconego przez nią nazwiska, wybije ją szybciej z nonszalanckiej postawy. Ona wie, że umieram z niecierpliwości, a ja wiem, że ona chce mi wszystko wyznać.

– Po nazwisku, to po pysku, Głowacka. – Specjalnie zwraca się do mnie panińskim nazwiskiem, ale nie mam zamiaru dać się sprowokować. Teraz rozmawiamy o niej.

– Przejdź do sedna, cwaniaro. Czy mówisz o Adamie z rocznika wyżej, tym, który podbijał kiedyś do Andżeli?

– Oj tam, od razu podbijał, po prostu chodzili razem na SKS – prostuje Klaudia, choć jednocześnie przewraca oczami. – Tak, to ten z mat-geo. Idziemy razem na studniówkę. Był na sylwestrze u Patryka i trochę

gadaliśmy, no i potem zaprosił mnie do kawiarni i na kręgle. Nie jak reszta tych patałachów, na murek za szkołą czy nad jezioro, gdy jest w pizdu zimno. Zabrał mnie nawet do Szczecina do kina w poprzedni weekend! No i zaprosił go na studniówkę. Andżela mówi, że za bardzo się podniecam, ale wydaje mi się, że po tej imprezie to już oficjalnie będziemy parą. Jakbyś go zobaczyła, stara, mówię ci, megaciacho. Wysoki, wysportowany, ciemny blondyn z zielonymi oczami. Cudo!

– Andżela ma chyba trochę racji – rzucam, ale równocześnie nie mogę się powstrzymać i uśmiecham się szeroko. Nie potrafię się oburzyć za „starą”. – Mam nadzieję, że to będzie niezapomniana impreza. Ale nie wybaczę ci tak łatwo, Cholewka, że nic mi nie powiedziałaś przez całe trzy tygodnie!

– No nie chciałam zapeszyć. Nawet teraz się zastanawiam, ale skoro mnie zaprosił i na kręgle, i do kina, to chyba musi myśleć o mnie poważnie, nie?

Nie chcę niszczyć jej naiwnego podejścia do życia, rzucam więc, żeby na siebie uważała, i zapewniam, że się cieszę, po czym pytam, co zamierza włożyć na studniówkę. Klaudia aż się rozpromienia, gdy przedstawia mi trzy pomysły na kreacje, i obiecuje, że wieczorem prześle zdjęcia w każdej z nich.

Rozgaduje się tak bardzo, że muszę przyhamować jej entuzjazm i przypomnieć o lekcji. Mamy już dziesięciominutowe opóźnienie, a Piotrkowi zdarza się wrócić ze ścianki piętnaście minut wcześniej. A nie może mnie przyłapać. Wtedy nie mogłabym uczyć Klaudii.

Przenosimy się więc w gorącą, hiszpańską kulturę, zapominając o zimnej, styczniowej Polsce.

Rozdział siódmy

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Rozdział ósmy

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dziewiąty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dziesiąty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział jedenasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwunasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzynasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział czternasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział piętnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział szesnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział siedemnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział osiemnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dziewiętnasty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwudziesty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwudziesty pierwszy

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwudziesty drugi

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwudziesty trzeci

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwudziesty czwarty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwudziesty piąty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwudziesty szósty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwudziesty siódmy

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwudziesty ósmy

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzydziesty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzydziesty pierwszy

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzydziesty drugi

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzydziesty trzeci

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzydziesty czwarty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzydziesty piąty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzydziesty szósty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzydziesty siódmy

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzydziesty ósmy

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział czterdziesty

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział czterdziesty pierwszy

Dostępne w wersji pełnej

Epilog

Dostępne w wersji pełnej

Podziękowania

Dostępne w wersji pełnej

Gdzie zwrócić się po pomoc?

Perspektywa: Zaślepienie w dużej mierze dotyczy przemocy w rodzinie. W przeciwieństwie do przemocy fizycznej przemoc psychiczna lub finansowa często jest niezauważalna dla otoczenia i niestety – łatwiejsza do zignorowania. To wciąż aktualny i pozostający tabu problem społeczny.

Na terenie Polski działa wiele organizacji i jest wiele możliwości pomocy dla ofiar przemocy oraz osób postronnych. Na [stronie rządowej „Przemoc w rodzinie”](#) podane są m.in. telefony alarmowe i Niebieskiej Linii, informacje o możliwości założenia Niebieskiej Karty oraz miejsca, w których można bezpośrednio uzyskać pomoc, takie jak Specjalistyczny Ośrodek Wsparcia dla Ofiar Przemocy w Rodzinie i Ośrodek Interwencji Kryzysowej.

Na [stronie Policji](#) można znaleźć wszystkie ogólnopolskie telefony zaufania, opisane tematycznie (nie tylko dotyczące przemocy, ale również np. osób znajdujących się w kryzysie samobójczym, bezdomności lub uzależnionych).

Na stronach [„Młode głowy”](#) i [„Sukces pisany szminką”](#) znajduje się lista telefonów zaufania i danych kontaktowych do organizacji zajmujących się wsparciem osób (przede wszystkim kobiet, dzieci i młodzieży) będących ofiarami przemocy.



<https://www.gov.pl/web/gov/skorzystaj-z-pomocy-dla-osob-dotknietych-przemoca-w-rodzinie>



<https://ksp.policja.gov.pl>



<https://mlodeglowy.pl/kompendium/jestem-rodzicem/do-kogo-sie-zwrocic-i-gdzie-szukac-pomocy-numery-pomocowe-copy/>



<https://sukcespisanyszminka.pl/przemoc-domowa-wsparcie/>